NUMER 8. ROCZNIK I. SIERPIEŃ 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje
(Mat XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(Św. Dyonizy).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(Św. Franciszek Salezy).



Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież Pius IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św Leon XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32. **ITALIA.**

OD WYDAWNICTWA.

Różne uwagi, życzenia i t. p., jakie od czasu do czasu do przezacnych naszych **Pomocników** na tem miejscu wystósować sobie pozwalamy, napotykają z ich strony, ogółem wziąwszy, na łaskawe i skwapliwe uwzględnienie.

Opierając się na tem, upraszamy **Pomocników** naszych także niniejszem o spełnienie następujących naszych życzeń, a mianowicie, ażeby

1) dokładnie odróżniali **spisy,** przeznaczone do zanotowania osób, które sobie życzą należeć lub które można zapisać do **Związku Pomocników** salezyańskich, od **spisów,** służących do zapisywania członków do **Związku mszalnego,** — czyli innemi słowy:

aby nie pisać rzeczy, tyczących się jednego **Związku,** na **spisach,** przeznaczonych na notowanie osób, ofiar i t. d. i odnoszących się do **Związku** drugiego.

Uwaga ta jest właśnie teraz tem bardziej na czasie, ponieważ w tym miesiącu zaczniemy po raz pierwszy rozsyłać **spisy** celem zbierania ofiar na rzecz **Związku Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych,** które to ofiary będą **wyłącznie** obracane na wsparcie, a w ten sposób ułatwienie dostąpienia kapłaństwa jak największej liczbie ubogiej, w kolegium św. Joachima w **Lombriasco** uczącej się, młodzieży **polskiej.**

2) Ażeby w razie, gdyby nie otrzymali od nas na swój list lub przesyłkę odpowiedzi w przeciągu najwyżej 2 tygodni, zechcieli nas **zaraz** o tem uwiadomić.

Odnosi się to szczególnie do wysyłek książeczek z nowennami do **Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych,** medalików, różnych obrazów i obrazków, rożańców i t. p.

3) Ażeby zdecydowawszy się na pobieranie jednego z naszych buletynów, — np. **„Wiadomości salezyańskich"** — odsyłali napowrót do Turynu z napisem: **nie przyjęto,** lub **refusé,** albo **nicht angenommen,** takie buletyny salezyańskie, które im dotychczas w innym (tj. **nie** polskim) języku były przysyłane, chyba że życzą je sobie pobierać dalej.

OSTATNIE MISYE
X. BISKUPA
ALOJZEGO LASAGNA.

Misye w stanie brazylijskim Mato Grosso.
(*Ciąg dalszy*).

(*Dokończenie*).

X.

Powrót z Cuyabà. — O. Maryan da Bagnalia. — Polowanie na Indyan. — Kacyk Guazú.

Na pokładzie statku *Centauro*, dnia 31 lipca 1894.

Najdroższy Ojcze,

Dwunastego b. m. wyruszyłem w towarzystwie X. Balzola z Cuyabà, by odbyć na nowo tę samą długą a niebezpieczną podróż, opisaną już raz przezemnie w poprzedzających listach. Odprowadzili nas aż do rzeki: prezydent stanu Mato Grosso, X. Biskup, oraz mnóstwo ludności, a wśród tejże więcej niż dwustu samych chłopców, najbiedniejszych i najbardziej obdartych z całego miasta, z którymiśmy się już w najlepsze byli zaprzyjaźnili.

Nie chcieli się odemnie oderwać i ze łzami w oczach zapytywali wciąż: kiedy X. Biskup wróci znowu do nas? — Wzruszony do głębi, udzieliłem im błogosławieństwa, uścisnąłem drogich współbraci, pożegnałem X. Biskupa i prezydenta, dałem błogosławieństwo wszystkim zebranym i wśród okrzyków i życzeń szczęśliwej podróży usadowiliśmy się, jak się dało, w sławetnej łodzi o dnie płaskiem, popychanej drągami, tym razem jednak niesionej także prądem wody: płynęliśmy bowiem w dół rzeki *Cuyabà*.

Na drugi dzień, około południa, napotkaliśmy nareszcie maleńki parowiec *Coxipò*, który pomimo niewielu wygód, jakich nam mógł dostarczyć, wydawał nam się pałacem królewskim w porównaniu z tem, cośmy wycierpieli w łodzi. W cztery dni później, dnia 17go lipca, stanęliśmy już w Corumbà.

Zwiedziłem to miasto i jego okolice w towarzystwie proboszcza, konsula włoskiego i kilku innych panów, gdyż chciałem zbadać osobiście, gdzie Salezyanie mogliby kiedyś się osiedlić. Znalazłem tam między innemi gotowe fundamenta pod kościół, którego budowa przed dwudziestu laty rozpoczęta, skutkiem rozmaitych nieprzychylnych okoliczności zaniechaną została i groziła ruiną. Rozpoczął ją niegdyś O. Maryan da Bagnalia, Kapucyn włoski, który w przeciągu lat czterdziestu pracował sam jeden w tej misyi. Założył był nawet kilka indyjskich wiosek, lecz te znikły teraz bez śladu. Dopóki O. Maryan zajmował się nawróconymi Indyanami, wszystko szło dobrze, ale skoro tylko znużony pracą i wiekiem odjechał do Rio-Janeiro, opuszczeni Indyanie, obawiając się popaść w moc niegodziwych handlarzy, którzy zewsząd na nich zastawiali sidła na to, by ich przemocą uprowadzić i sprzedać następnie jako niewolników na rynkach brazylijskich, sprzykrzyli sobie pobyt w zagrożonych wioskach i rozproszyli się po gęstych, nieprzebytych lasach stanu Mato Grosso, by na nowo zakosztować złotej swobody w stanie dzikim.

Niewolnictwo, jakie istniało w Brazylii do ostatnich prawie czasów, było stałą przeszkodą w nawracaniu pogan, a i obecnie jeszcze, jakkolwiek jest zniesione, trwa jeszcze w stanach, oddalonych od centrum rządowego.

Podczas mojej podróży spotkałem pewnego lekarza z Kuritiby (miasta głównego stanu Paraná), który był jednym z przywódców niewczesnej rewolucyi, przytłumionej tak szybko przez obecny rząd brazylijski. Aby uniknąć niechybnej śmierci, uciekł on z wybrzeża Atlantyku w głąb niedostępnych lasów i zdołał dotrzeć szczęśliwie aż do Concepcion w rzeczypospolitej Paraguayu. Tam przybył boso, okryty łachmanami i wynędzniały do najwyższego stopnia, gdyż podczas trzymiesięcznej wędrówki wśród lasów żywił się tylko dziko rosnącymi owocami i zwierzyną, jeżeli mu się ją upolować zdarzyło. W drodze spotykał liczne koczownicze plemiona, u których żebrał wsparcia, i z wdzięcznością wspominał, że doznał wszędzie gościnności i ludzkości. Lekarz ten mi opowiadał, że w pewnej miejscowości, zwanej *Vaccaria*, a niezbyt odległej od ujścia rzeki *Parapanemy* do *Paraná*, jakiś oficer z kilkudziesięciu innymi, podobnymi do siebie, opryszkami, urządza prawdziwe obławy na biednych Indyan, chwyta ich i sprzedaje w niewolę hodowcom bydła, po 25 skudów (= 100 marek, lub 125 koron) od osoby. Oburzające te nadużycia tembardziej są opłakane, że z powodu znacznej odległości pogranicznych prowincyi brazylijskich od stolicy, Rio de Janeiro, represya ze strony władz rządowych jest z samej natury rzeczy zanadto

powolną, a nawet właściwie mówiąc, żadną.

Co się tyczy czcigodnego O. Maryana, nadmienię jeszcze, że opuściwszy lasy, zatrzymał się przez lat kilka w Corumbà i objął zarząd tamtejszej parafii, poczem, złamany wiekiem i pracą, udał się do Rio Janeiro, aby tam w klasztorze zakończyć dni swego żywota.

W czasie tej podróży zatrzymał się kilka dni w Montevideo i spędził je u nas, w Villa Colon, przy której to sposobności ze zdumieniem słuchaliśmy jego opowiadań o licznych przygodach, zaszłych w ciągu długiego jego życia misyonarskiego.

Zaledwie przybył do Rio de Janeiro dał się na nowo unieść zapałowi do głoszenia Wiary i w towarzystwie O. Sabina udał się do Indyan w stanie São Paulo, gdzie pięć lat temu znalazł śmierć tragiczną. Niech Bóg Wszechmogący raczy dać jego duszy nagrodę, na jaką sobie zasłużył!

Następnie zwiedziłem arsenał wojenny, zbudowany o pół mili od Corumbà. Do obejrzenia go nakłonił mię pułkownik, pod którego zarządem ten zakład się znajduje, a nawet przysłał po mnie mały, lecz śliczny swój statek. W arsenale tym pracuje 300 przeszło robotników, a sąsiednia wioska liczy około 2,500 mieszkańców, których większa część rekrutuje się z emigrantów włoskich. Ale niestety, już lat dziesięć upływa od chwili, w której zostali pozbawieni proboszcza i pozostawieni własnym jedynie siłom. Zacny pułkownik i inni oficerowie okazali mi serdeczną gościnność i uprzejmość. Błagali mię nadto usilnie, abym im przysłał którego z naszych misyonarzy, obiecując kochać go i popierać we wszystkiem o ile możności.

Nazajutrz rano duży i wygodny parowiec brazylijski *Ladario*, przyjął nas na swój pokład. O godzinie 11^ej^ rano podniesiono kotwicę i odpłynęliśmy w stronę Paraguay. Tym razem przebywamy we dnie rozmaite miejscowości, któreśmy podczas poprzedniej podróży w nocy przebywać musieli. Mogliśmy więc się przypatrzeć wielu nieznanym sobie dotąd zakątkom i nowym zupełnie rzeczom. Tu i owdzie na brzegu spostrzegaliśmy gromadki Indyan, trzymających w ręku wiosła lub strzały; należą oni do spokojnego i łagodnego plemienia Chamacocos. Chętnie wynajmują się do posług u właścicieli bydła, choć w zamian za ciężką i długą pracę ci ostatni darzą ich tylko sucharami, wędkami lub innymi podobnymi przedmiotami małej wartości.

Trzeciego dnia podróży wysiadłem na jednym z przystanków na ląd. W pobliżu leżała osada europejska. Niebawem zjawili się Indyanie, ofiarując różne drobiazgi na sprzedaż, jak wachlarze, różne tkaniny z włókien liści palmowych i t. p. Kupiłem parę takich drobiazgów, aby mieć sposobność do zawiązania z nimi rozmowy, a następnie rozdałem pomiędzy nich trochę medalików i obrazków, nie mogłem jednakże na żaden sposób z nimi się rozmówić, gdyż mówili całkiem mi nieznanem narzeczem.

Godnymi litości zaiste są biedni ci Indyanie, lecz również na politowanie zasługują liczne chrześcijańskie rodziny, które się osiedliły nad brzegami tej rzeki, ponieważ na całej rozległej przestrzeni, ciągnącej się od Corumbà aż do miasta Concepcion w Paraguay, niema ani jednego kapłana. A jednak tu właśnie leży Ladario, Coimbra, Olimpo, Bahia Negra i tyle innych chrześcijańskich osad, tudzież indyjskich *tolderias*, czyli wiosek, złożonych z nędznych szałasów. Biedne, opuszczone istoty! Czyż można się dziwić, że z czasem w obyczajach swoich zniżają się do poziomu zwierząt?

W piątek, dnia 20^go^ lipca, parowiec dotarł do Concepcion. Pożegnawszy poczciwego kapitana i licznych towarzyszy podróży, wsiedliśmy do łodzi kapitana portowego, która nas lekko i zwinnie uniosła ku wybrzeżu. Tam kilku panów powitało nas uprzejmie i odprowadzili do domu Ildefonsa FERNANDE'a, rodem z Uruguayu, bogatego właściciela rozległych gruntów i licznych stad bydła. Gościnność, jakiej doznałem w domu zacnej tej rodziny, zapisała się głęboko w mej duszy. Potrzebowałem nieodzownie spokoju i wytchnienia. Cierpienia reumatyczne coraz bardziej mi dokuczały, liczne bezsenne noce tak dalece osłabiły mój organizm, że we dnie z trudnością mogłem poruszać zbolałymi członkami.

Podczas trzechdniowego pobytu mego w Concepcion, oblegały mię ciągle tłumy. Jedni pragnęli otrzymać Sakrament Bierzmowania, drudzy chcieli posłuchać Słowa Bożego. Ponieważ jeden tylko raz w tygodniu niewielki parowiec ułatwia komunikacyę pomiędzy tem miastem a stolicą, gdybym więc pominął sposobność wyjazdu w niedzielę, musiałbym czekać przez cały tydzień. Wolałem przeto wyrzec się tym razem wycieczki na terytoryum Czako i odpłynąć w niedzielę, a to dla następującego powodu.

Pomiędzy Concepcion a Czako leży wyspa tak długa, że chcąc opłynąć ją dokoła łodzią, zaopatrzoną w wyśmienitych wioślarzy, potrzeba co najmniej trzech godzin czasu.

Każdego poranku napływają tam liczne gromadki Indyan, którzy sprzedają skóry ubitych w lesie zwierząt. Indyanie ci należą przeważnie do najłagodniejszego na całem terytoryum Czako plemienia Lengua s'ów. Mają oni bardzo dobry i poczciwy charakter, lubią oddawać innym rozmaite usługi, o kradzieży zaś nie mają wcale pojęcia. Wprawdzie wchodzą swobodnie na dziedzińce, a nawet do mieszkań i sklepów, lecz nigdy nic nie kradną, wolą bowiem żebrać i prosić aż do znudzenia tych, od których wymagają datku. O zachodzie słońca żołnierze wypędzają ich bez ceremonii na przeciwległy brzeg rzeki.

Nazajutrz po przybyciu naszem do Concepcion, odwiedził mię kacyk Guazú, naczelny wódz tych Indyan. Towarzyszyli mu czterej ludzie, których ciało pomalowane było jaskrawo w najdziwaczniejszy sposób. Mieli na sobie tylko szmatę, która okrywała biodra, reszta zaś ciała była nagą. Sam wódz wygląda jak olbrzym, silny zaś jak Herkules. Stojąc z podniesioną dumnie głową, z piersią, wysuniętą naprzód, sprawiał wrażenie groźnego i nieubłaganego wojownika, pomimo jednak tak przerażającej powierzchowności, jest w gruncie rzeczy łagodnym jak baranek. Powitał mię uprzejmie łamanym hiszpańskim językiem, prosząc, abym go odwiedził, przyrzekając poczęstować mię w swym domu dobrem mlekiem i jajami. Ponieważ zaś koniecznie chciał mnie mieć u siebie, porwał mnie przeto bez ceremonii za ramiona swemi lśniącemi od jakiegoś tłuszczu rękami, mówiąc, że łódź już na mnie czeka. Ze swej strony czterej jego adjutanci oświadczyli, że są wybornymi wioślarzami, a zarazem tak wyśmienicie umieją pływać i tak są silni, że mogliby w razie potrzeby przenieść mię na własnych barkach na przeciwległy brzeg rzeki.

Nie mogąc pomimo najszczerszych chęci przyjąć tak uprzejmego zaproszenia, ofiarowałem kacykowi sowite dary w cygarach i pieniądzach, oraz pożegnałem go jak najserdeczniej, lecz poczciwy Indyanin nie dał się pocieszyć moimi podarunkami i wyszedł smutny, z głową zwieszoną na piersi.

Co sobie mógł pomyśleć o tej mojej odmowie, biedne dziecię lasów? O, gdyby mógł czytać w mem sercu, poznałby, że więcej od niego byłem zasmuconym i że odmowa moja bardziej mnie, niż jego, bolała. W owej chwili z jednej strony całą duszą pragnąłem pójść z nim i nieść pomoc i jemu i jego współplemieńcom, a z drugiej rozdzierała mi serce myśl, że jeszcze może przez wiele lat nie będę mógł tego uczynić. Próżno suszyłem sobie głowę, szukając sposobu, w jakiby można tym biedakom przyjść w pomoc. Nie mając dostatecznego personalu, pozbawiony środków materyalnych, dźwigając ciężar długów, przygniatających nasze misye, — na widok tylu i tak rozlicznych potrzeb, których żadną miarą nie mogłem zaspokoić, ogarniała mnie żałość niewymowna.

Winienem tu jeszcze dodać, że wpośród tych plemion zagnieździła się już misya protestancka, wspierana po królewsku przez londyńskie „*Stowarzyszenie biblijne.*“ Zewsząd słyszę wprawdzie, że praca tych anglikańskich misyonarzy zupełnie jest bezowocną i najmniejszem dotąd nie uwieńczyła się powodzeniem: ale choćby i tak było, to jednak jest ona dla nas niemałą przeszkodą. Protestanci bowiem nas wyprzedzili, wpierw od nas rozpoczęli siejbę, a jakkolwiek to, co w ziemię rzucają, jest tylko kąkol, jednak mogą sprawić, ze my, siewcy prawdziwego ziarna, przyjdziemy tam już za późno, a kto wie, czy tam wogóle przyjść będziemy mogli!

Kiedyż, kiedyż wreszcie zaświta ten dzień, że także w tych stronach, podobnie jak na stepach patagońskich, rozsiedlą się misyonarze, Siostry Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki, dzielni katecheci i skrzętni rolnicy, by pozyskać dla prawdziwej Wiary i cywilizacyi, a tem samem, przyczynić się do zbawienia tych ludów nieszczęśliwych!

XI.

Indyanie Kainguà.

W niedzielę, dnia 22go lipca, liczny tłum odprowadził mnie do rzeki, gdzie już oczekiwał statek *Pingo*, który miał mię odwieźć do stolicy Paraguayu. Dokoła parowca, na którym znalazłem się niebawem, snuło się mnóstwo łodzi, należących do Indyan Lenguas, w których spojrzeniu, ku mnie ciągle zwróconem, wyczytać można było raczej poważny smutek, niżeli płochą ciekawość. Odjeżdżałem więc z mocnem postanowieniem rychłego powrotu, w celu osadzenia misyonarzy na nowym posterunku. Tem goręcej tego pragnąłem, że po drugiej stronie terytoryum Czako mieszkają Indyanie, zasługujący w szczególności na naszą litość i współczucie. Są to członkowie plemienia Kainguà, zwani pospolicie Caimoà. Pochodzą oni z odległych gór *Amambay* i *Marakayú*, i od niedawna dopiero zstąpili na doliny lub wzgórza, otaczające miasto Concepcion. — Wszyscy ci Indyanie zachowali tradycye porządku, moralności

i pracy, które ich czynią lepszymi i wyższymi od innych tubylców. Istnieją nawet u nich widoczne ślady Ewangelii, opowiadanej niegdyś ich przodkom przez O O. J e z u i t ó w, i tak, ilekroć poczciwi ci ludzie ujrzą obcego przybysza, witają go, wznosząc w górę krzyżyk, grubo ociosany.

Każdego wieczora o zachodzie słońca *kacyk* zbiera swe plemię i podniósłszy ręce ku niebu, intonuje jakąś pieśń. O świcie tażsama pieśń znowu się powtarza. Dowiedziałem się, że jest to „*Ojcze nasz*,“ przełożony przez jednego z dawnych misyonarzy na język staroguaranicki. Język ten już od lat wielu wyszedł z użycia i obecnie wcale w potocznej rozmowie użytym nie bywa. W naszych czasach zwyczajną mową mieszkańców P a r a g u a y u jest nowożytny dyalekt *guaranì*, pochodzący od starego dyalektu, używanego wówczas, gdy synowie ś w. I g n a c e g o skrapiali swą krwią i potem rozległe te obszary.

Indyanie K a i n g u à odznaczają się łagodnością charakteru i wrodzoną dobrocią serca, moralność zaś ich jest prawdziwie zdumiewającą. Oto między innymi dowód, zaczerpnięty z dziejów wojny, którą okrutny despota Francisco Solano L o p e z toczył był z trzema sprzymierzonemi państwami, B r a z y l i ą, U r u g u a y e m i A r g e n t y n ą. Nie poprzestając na barbarzyńskiem mordowaniu wszystkich tych, których słusznie lub mylnie podejrzywano o zdradę, L o p e z skazywał jeszcze na wygnanie żony i córki swoich przeciwników, wysyłając je w głąb pustyni, gdzie umierały z nędzy i głodu. W roku 1869 ilość takich nieszczęśliwych wygnanek wynosiła około 1,000 osób. Musiały one przebywać przeszło 50 milową przestrzeń bez wytchnienia, o głodzie, a do tego w towarzystwie nie żołnierzy, ale prawdziwych zbirów, którzy nielitościwie obchodzili się ze swemi ofiarami. Biada zaś tym, które szukały ratunku w ucieczce! Łańcuch żołnierzy, rozstawionych w lesie, czyhał na nie w zasadzce i kładł je bez litości trupem. Wreszcie gdy doszły do miejsca swego przeznaczenia, nieszczęsne istoty zostały opuszczone w olbrzymim lesie, pozostawione samym sobie i skazane na śmierć powolną. Przez czas niejaki zaspokajały głód korzonkami roślin i dzikimi leśnymi owocami, zwłaszcza gorzkiemi pomarańczami, rosnącemi tam na stokach gór. Bez dachu, bez opieki, biedne wygnanki wystawione były na wichry, słoty i napaści dzikich zwierząt.

Znaczna ilość nieszczęsnych ofiar umarła z wycieńczenia i głodu, drugie pod wpływem rozpaczy odebrały sobie życie, reszta zaś jedynie wspaniałomyślności dzikich zawdzięczała swe ocalenie. Dowiedziawszy się, że słabe kobiety znoszą w głębi lasu okropne katusze, poczciwi K a i n g u à przybiegali do nich z odległych swych obozów, przynosząc wygnankom zwierzynę i smaczne owoce; co więcej, od czasu do czasu oswobodzali te biedaczki po kilkanaście naraz, uprowadzając je pokryjomu, z obawy siepaczy, w gęstwinę i po długiem błąkaniu się po lasach, przeprowadzając szczęśliwie do obozu sprzymierzeńców, gdzie znajdowały dobre przyjęcie. W taki sposób Indyanie K a i n g u à czyli C a i m o à, zdołali ocalić ich przeszło połowę.

Miałem sposobność mówić obszernie i niejednokrotnie z pannami Bedoja, tudzież z wdową po eksprezydencie Gil, które należały także do rzędu wydartych prawie z objęć śmierci ofiar i jedynie chrześcijańskiej prawdziwie wspaniałomyślności I n d y a n zawdzięczają utrzymanie się przy życiu. Zapewniały mię one z głębokiem wzruszeniem, że w przeciągu dwóch miesięcy, spędzonych wpośród I n d y a n, doznały w obejściu się ze sobą tyle troskliwości i delikatności, iż dotąd jeszcze zrozumieć nie mogą, skąd biedne dzieci lasów nauczyły się tego. Łatwo możesię domyśleć, jak gorąco i usilnie prosiły mię o przysłanie I n d y a n o m kilku przynajmniej misyonarzy, którzyby ich mogli ochrzcić i w taki sposób wiarą zapłacić za miłość, iście chrześcijańską, im okazaną.

Wieczorem parowiec nasz *Pingo* zarzucił kotwicę naprzeciw kilku chałup, ukrytych prawie zupełnie w cieniu wyniosłych drzew liściastych. Mieliśmy tam dostać trochę drzewa, niezbędnego dla naszego statku, jako materyał opałowy. Stałem wtenczas właśnie oparty o poręcz, okalającą pokład, i przyglądałem się dość licznej gromadce I n d y a n, zbitych w kupę i chroniących się pod cieniste konary rozłożystego, wysokiego drzewa. Zaledwie nas spostrzegł niejaki Argentyńczyk z prowincyi C o r d o v a, pospieszył natychmiast do komendanta naszego statku, nazwiskiem Domenico Savio, rodem z G e n u i, prosząc, byśmy ochrzcili małego jego synka. Zaraz też X. Balzola przygotował w niewielkim saloniku parowca wszystko, co było potrzebnem do wykonania tego religijnego obrzędu. — Niebawem cały pokój napełnił się ciekawymi i ceremonia się rozpoczęła. Nagle z pomiędzy I n d y a n, pozostałych na brzegu, wysunął się jakiś olbrzym, nagi, brudny, rozczochrany, i zaczął się wdrapywać na pokład, poczem zbliżył się

do mnie, mówiąc, że i on również wraz ze swoimi podwładnymi pragnie otrzymać Chrzest święty. Biedny Indyanin! Powiedziano mi, że jest to jeden z kacyków plemienia Lenguas, licznie zamieszkującego terytoryum Czako. Starałem się mu wytłómaczyć, że przed udzieleniem Chrztu św. musiałbym go przygotować, nauczyć zasad świętej naszej wiary, ponieważ zaś obecnie nie mam na to czasu, wkrótce więc znowu przyjadę, lecz na dłużej. Stary katechumen zdawał się być zadowolniony z naszej odpowiedzi, a zwłaszcza z podarunków, i powrócił na ląd, gdzie go zaraz obstąpili jego współplemieńcy, by usłyszeć wynik poselstwa, wprzód jednakże, żegnając się z X. BALZOLA, wyjął z ucha swój *kolczyk* i ofiarował mu go w dowód swojej wdzięczności na pamiątkę. Oryginalny to kolczyk! Jest to lekki, okrągły kawałek drzewa, mający 6 cm. długości na 5 cm. średnicy, który krajowcy noszą w przedziurawionej dolnej części ucha.

W porównaniu z tą jamą, wykrojoną czy wyszarpaną, czemże jest delikatne przekłucie ucha, przez które u nas kobiety przeciągając swoje kolczyki? A jednak ucho, tak szkaradnie okaleczone, uważają tutejsi Indyanie za ozdobę, za coś pięknego, i jeden drugiego stara się prześcignąć, przeciągając przez ową jamę coraz to grubszy kawałek drzewa.

Otoż także ten kolczyk poślę do Turynu, do naszego muzeum misyjnego we Valsalice.

Lecz nie skończyłbym nigdy listu, gdybym drogiemu Ojcu zaczął wyliczać wszystkie plemiona, wszystkie szczepy indyjskie, które od wieków czekają misyonarza, by je wyrwał z tego poniżenia, wyprowadził ze stanu, nie różniącego się w niczem od zwierząt. Są to istoty tak nieszczęśliwe, tak upadłe, tak pogrążone w ciemnocie, tak zagrzązłe w zabobonach i bałwochwalstwie, że wielu z tutejszych „antropologów“ stara się usprawiedliwić zabójstwa i wszelkie ohydy, jakich się różni biali wobec nich dopuszczają tem, że Indyanie nie są wcale ludźmi, że to nie istoty, należące do tego samego, co my, rodzaju ludzkiego. Ach! gdyby Ojciec wiedział, jakie okropności, jakie bezeceństwa popełniają się na tych biednych dzikich, opierając się na tej niby to racyi.

Dużo mówiono i pisano w ostatnich czasach o słynnej wyprawie naukowej CRÉVAUX'a z roku 1882, który badał i opisywał łożysko rzeki *Pilcomajo*. Zwiedziwszy całe terytoryum Czako, podróżnik ten dotarł do gór boliwijskich, gdzie wpadł w zasadzkę, urządzoną przez Indyan z plemienia Tobas, którzy nietylko jego zabili, lecz także wymordowali co do nogi całą jego eskortę. Jakaż była przyczyna tej rzezi? Inżynier VERNIAUD wyświecił całą rzecz. Udał się on sam do krainy Tobas'ów, ażeby wykupić zwłoki zamordowanego podróżnika i spędziwszy tam całych dziewięć miesięcy, opowiedział mi za powrotem, iż Indyanie zemścili się w tak okrutny sposób za zniewagi, wyrządzane przez CRÉVAUX'a i jego towarzyszy żonom swoim i córkom.

Nie mówię już nic o Guayaquis, o Matacos, o Guaycurus i tylu, tylu innych; już niedługo trzeba będzie czekać, a misyonarze nasi będą mogli o nich nadesłać Ojcu więcej szczegółowych i wcale pocieszających wiadomości. Co do mnie, serce mi się ściska na widok tyle i takiej nędzy, której nie mogę, tak jakbym z duszy pragnął, zaradzić. To, com na własne oczy widział, i czegom się własnorącz, że tak powiem, dotknął, wstrząsnęło do głębi całą moją istotą tak, że mi brak po prostu odwagi prowadzić dalej w tym roku wycieczki.

Tem bardziej, że w Assumpcion potrzeba mi koniecznie porozumieć się z nowym rządem rzeczypospolitej paraguayskiej i omówić podróż lustracyjną, już z poprzednim rządem uplanowaną. Wiadomo bowiem drogiemu Ojcu, że *pronunciamento* wojska obaliło rząd prezydenta GONZALES'a i zmusiło tak jego, jak również głównych jego stronników, do ucieczki. Także zdrowie moje, wskutek długiego przebywania wśród zabójczych bagien i moczarów, nadzwyczaj się pogorszyło, a napady reumatyczne, które się stąd wywiązały, są nieraz takie, że nie dziwiłbym się, gdyby mnie kiedy powaliły i zmusiły leżeć bez ruchu, Bóg wie gdzie i jak długo, na ziemi.

Podczas ostatniego pobytu w Assumpcion otrzymałem telegram, zawierający bolesną wieść o skonie drogiego naszego współpracownika X. Karola CIPRIANO, który był znany jako jeden z najgorliwszych i najdoświadczeńszych naszych misyonarzy. On to podczas mych podróży wyręczał mnie zawsze w administracyi naszych domów zakonnych w Uruguay.

Także z Nictheroy i ze São Paulo otrzymałem różne wiadomości tego rodzaju, że zniewolony jestem przyspieszyć, ile możności, mój powrót. Rozważywszy wszystko dobrze, postanowiłem odłożyć na później wycieczkę misyonarską na przełaj Paraguay'u w kierunku górnego biegu rzek *Paranà* i *Uruguay*, a zato przyspieszyć powrót



X. Alojzy LASAGNA, biskup tripolitanski i. p. i.
i Mgr. BOGARIN, biskup dyecezyi *Assumpcion* w Paraguay.

do Montevideo, przyprowadzić do porządku sprawy tamtejszej misyi i wyruszyć czem prędzej do Rio Janeiro.

Podczas mego pobytu w Assumpcion wyświęciłem w tamtejszej katedrze na kapłanów dwóch młodych Paraguayczyków, udzieliłem kilkudziesięciu wiernym Sakramentu Bierzmowania i zawiązałem naprędce rokowania z nowym rządem, mające na celu założenie w tym kraju misyi salezyańskich. Następnie pożegnałem X. BOGARIN'a, prekonizowanego na Biskupa Paraguayu [1]), jak również X. Arrua i wielu innych przyjaciół, którzy mię odprowadzili na pokład *Centaura*. Statek ten podniósł kotwicę dnia 29go bieżącego miesiąca (lipca) i ominąwszy zdala Paraguay, ma mnie zawieźć wprost do Montevideo, dokąd spodziewam się przybyć dnia 5go sierpnia.

O niech będzie pochwalony Wszechmogący Bóg za to, iż mnie zdrowo przyprowadza napowrót do grona ukochanych moich współbraci, pozwoliwszy mi wprzód na własne oczy sprawdzić i niejako własnoręcznie dotknąć się głębokich ran tych biednych, opuszczonych ludności górnego Paraguay'u i stanu Mato Grosso! Na widok tej nędzy, tego opuszczenia, jakżeż nie dziękować z głębi serca Wszechmocnemu Stwórcy, że nam pozwolił urodzić się nie na tej puszczy, wśród pogan, lecz w miłej ojczyźnie naszej, skąd wyszła i prawdziwa Wiara i prawdziwa cywilizacya, gdzie tysiące świątobliwych, prawdziwie bohaterskich, chrześcijańskich dusz zostawiło nam w spadku i przykład nieśmiertelny i chwałę niespożytą.

Żyjąc w takiem oddaleniu i takiem otoczeniu, wśród puszczy i barbarzyństwa, mając ustawicznie do walczenia z brakiem najniezbędniejszych rzeczy i ciągłym niedostatkiem, — ach! gdyby drogi Ojciec wiedział, z jaką miłością misyonarz wspomina ukochaną ojczyznę, ile razy na dzień i jak gorąco dusza nasza zwraca się do Pana Boga z błagalną modlitwą i prosi o łaski i błogosławieństwo z niebios dla ojczyzny, dla krewnych i przyjaciół, dla Zgromadzenia i wszystkich jego dobrodziejów!

Zwłaszcza **Pomocnikom** naszym niech drogi Ojciec przypomina zawsze, ażeby nie zapominali o nas, biednych misyonarzach, rozrzuconych nieledwie po jednemu po niezmierzonych puszczach i stepach amerykańskich na to, aby Panu Bogu pozyskiwać dusze i posuwać naprzód kresy chrześcijańskiej cywilizacyi; niech ich Ojciec wciąż wzywa, ażeby się za nami modlili, jałmużną nas wspierali, a tak wspólnie z nami przyczyniali się do rozszerzania królestwa Chrystusowego tu na tej ziemi.

(*Koniec*).

[1]) Wyświęcenie nowego tego Biskupa w Assumpcion odbyło się dnia 3 lutego 1895 r. Biskupem konsekratorem był X. Biskup LASAGNA, prezydent zaś rzeczypospolitej, ministrowie i wszyscy członkowie ciała dyplomatycznego, wzięli udział we wspaniałej tej ceremonii.

NOWY DYPLOM

dla

POMOCNIKÓW SALEZYAŃSKICH.

Od kilku już lat wielu z naszych Szanownych **Pomocników** i **Pomocnic** życzyło sobie mocno posiadać dyplom, odłączony od **Ustaw**, w formacie takim, żeby go można dać oprawić, lub wsadzić w ramki, i jako obraz zawiesić na ścianie.

Przełożony główny naszego Zgromadzenia, będący równocześnie Przełożonym **Pomocników** salezyańskich, pragnąc uczynić zadosyć tak słusznemu żądaniu, polecił był już zeszłego roku jednemu z naszych współbraci wygotować dyplom, któryby odpowiadał życzeniom przezacnych naszych Dobrodziejów i Współpracowników.

Rysunek miał być symboliczny: miał z jednej strony przedstawiać głównych Patronów i niebieskich Opiekunów **Związku**, z drugiej zaś przypominać główne tegoż zadanie.

Wykonanie pomysłu tego (jak to samiż przezacni **Pomocnicy** nasi mogą ocenić z ryciny, zamieszczonej w niniejszym numerze na str. 206) można nazwać wcale udatnem: w każdym razie różni artyści i znawcy, którym rysunek, w mowie będący, przedłożyliśmy, mieli dla niego tylko wyraz uznania.

Po prawej stronie, w głębi kapliczki o wytwornej ornamentyce gotyckiej, wznosi się posąg Najśw. Maryi Panny, Wspo-

możenia Wiernych, Opiekunki wszystkich zakładów, wszystkich dzieł i przedsięwzięć X. Bosko. Niżej widnieje część środkowa Oratoryum turyńskiego, głównego domu Zgromadzenia, z kościołem, poświęconym na cześć Najświętszej Wspomożycielki.

Po lewej stronie stoi figura św. Franciszka Salezego, Patryarchy i wzoru Zgromadzenia i Związku, w ubiorze pontyfikalnym; niżej umieszczone popiersie Ojca i Założyciela naszego, X. Jana Bosko.

Poniżej krzyża, górującego nad herbem Zgromadzenia, czytamy na rozwiniętej wstędze słowa, będące myślą przewodnią całego życia naszego Ojca, a które on przekazał jako hasło swoim Synom i Pomocnikom: **da mihi animas, caetera tolle!** *Daj mi dusze, o resztę nie stoję.*

U spodu tekstu dyplomu, pomiędzy dwoma kartuszami, które okalają dwa wyrazy, będące niejako streszczeniem testamentu naszego Założyciela: — *Modlitwę* i *Pracę*, — umieściliśmy początek Psalmu XL: „*Beatus, qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus*“ = *Błogosławiony, który się opiekuje opuszczonym i biednym: w dzień zły* (tj. w dzień przeciwności i klęsk) *wybawi go Pan.*

Tekst ten Pisma św. wskazał samże Ojciec św., Papież LEON XIII, „*pierwszy Pomocnik i pracownik salezyański*“ (jak był siebie nazwał, wpisując się do **Związku** Pomocników), kiedy go w marcu b. r. protektor Zgromadzenia naszego, Jego Eminencya, X. kardynał Lucido Maria Parocchi o podanie takowego w naszem imieniu był poprosił, a co więcej, położył pod nim własnoręczny podpis.

Począwszy od lipca b. r. otrzymują wszyscy nowi **Pomocnicy** dyplom w nowym formacie; ci zaś z pomiędzy nich, którzy już dawniej do Związku się byli zapisali, mogą go również — jeżeli takie będzie ich życzenie i jeżeli się o to zgłoszą — otrzymać w miejsce starego.

MIESIĄC podróży

MISYONARZY SALEZYAŃSKICH, wysłanych do południowej Ameryki w grudniu 1893 r.

Skreślił X. STANISŁAW CYNALEWSKI.

(Ciąg dalszy).

7^my grudnia.

Cały dzisiejszy dzień spędziliśmy w Gibraltarze.

Skała (na jakiej wznosi się słynna na cały świat, dotąd przez nieprzyjaciela nie zdobyta i powszechnie za nie do wzięcia uważana twierdza), zwana przez starożytnych *Calpe*, jestto ostra kończyna mocno wysuniętego, około trzy kilometry w morze wybiegającego cyplu hiszpańskiego wybrzeża, położona wprost naprzeciw innej, o jakie 20 kilometrów odległej skały, wybiegającej niejako na jej spotkanie od strony brzegów Afryki, a zwanej od starożytnych *Abyla.* Przypuszcza się ogólnie, że obydwa te olbrzymie głazy, o szczytach śpiczastych, a ścianach stromo opadających w morze, były właśnie owymi dwoma słynnymi *słupami Herkulesa*, tyle razy wspominanymi w starożytności, a przez greckiego siłacza rzekomo osadzonymi nad wąską cieśniną, przez którą morze Śródziemne łączy się z Atlantykiem.

Przesmyk piaszczysty, nie wiele nad powierzchnią morza się wznoszący, łączy skałę gibraltarską ze stałym lądem. Samaż skała, odosobniona zupełnie nakształt wyspy, przedstawia na swoim wierzchu, od strony *zachodu* i *południa*, jako tako równą płaszczyznę, zato od strony *wschodniej*, a więcej jeszcze *północnej*, jest zgoła niedostępną. Najwyższy punkt tego olbrzymiego głazu, zwany „*głową cukru*,“ wznosi się około 426 metrów ponad powierzchnią morza; tutaj właśnie przebywa nieliczne już dzisiaj, a troskliwie chowane stadko małp — jedynych w całej Europie, żyjących w stanie dzikim, — podobnych zresztą do niektórych gatunków afrykańskich.

Sameż miasto Gibraltar leży na *zachodnim* skłonie skały. Posiada jedną tylko ulicę główną (jakby się z włoska powiedziało:

corso) i kilka uliczek pomniejszych, biegnących do niej równolegle. Domy są w ogólności niskie, na zewnątrz malowane, i choćby tylko tym zewnętrznym swoim wyglądem (nie mówiąc już nic o wzorowej czystości i domostw i ulic) świadczą, że miasto jest angielskie.

Nie Anglicy wszakże je założyli. Jak większą część osad, założonych w miejscach handlowo najważniejszych i najwyborniejszych, opasujących krasnym wiankiem wschodnio-południowe wybrzeże Hiszpanii, — jak Barcelonę, Taragonę, Kartagenę, Malagę, Kadyx i t. d. — podobnież tutaj, na chylącym się ku Atlantykowi skłonie niedostępnej skały, założyli byli Kartagińczycy kolonię Cartheia.

Dzisiejszą swoją nazwę nosi miasto od wodza arabskiego Tarik'a, który r. 711 po nar. Chr. przeprawiwszy hufce mauretańskie z północnej Afryki do Hiszpanii, stanowczą zadał klęskę Wizygotom w bitwie pod Xeres de la Frontera. Na cześć zwycięskiego wodza nazwali Arabowie północny *słup Herkulesa* Gebel-al-Tarik (= górą Tarika), skąd powstała z czasem dzisiajsza nazwa *Gibraltar*. Z miasta jednakże, jakie tutaj założyli, nie pozostało dzisiaj ani śladu; nie wielu ich nawet przebywa w Gibraltarze: przeważną, pod względem narodowości, część mieszkańców stanowią Anglicy i Hiszpanie, liczba zaś ich dochodzi do 20,000.

Kontrast, jaki stanowią te dwie rasy: *anglo-saska* i *romańska*, jak zawsze i wszędzie indziej, tak samo i tutaj od razu wpada w oko.

Anglik czynny, rzutki, przedsiębiorczy, od rana do późnego wieczora ciągle zajęty, nie tracący ani chwilki czasu, dla którego *time is money* *), tak samo tutaj, jak po ulicach Londynu, nie *chodzi* za swojemi interesami, ale *biega* za niemi, w dosłownem tego wyrazu znaczeniu: — gnuśny Andaluzyjczyk, potomek Cyda Campeadora i zdobywców Ameryki, nieodrodny współplemiennik Włochów (potomków Rzymian), pokrewny zaś Grekom (potomkom Leonidasa i Spartanów), przekonany — jak zresztą wszystkie te skarłowaciałe romańskie szczepy — o niebotycznej wyższości swojej rasy ponad wszystkie inne, z góry i ze źle ukrytą pogardą spogląda na przedstawicieli ras północnych, „*barbarzyńców*," których ile możności unika.

Komiczne sprawiają wrażenie ci mali, a tak dumni, synowie wielkich Ojców, — nędzarze, strojący się w strzępy spłowiałych purpur i resztki zwiędłych, po przodkach pozostałych wawrzynów, a mimo to, z uporczywością, godną lepszej sprawy, wmawiający w siebie, iż są istotami wyższemi, uprzywilejowanemi, i domagający się od „barbarzyńców" czołobitności i hołdu.

Ich typem jest słynny dziad hiszpański, *hidalgo* z miny i czupryny, który raczy wprawdzie przyjąć — dumnie i wyniośle — daną mu przez „barbarzyńca" jałmużnę, ale nigdy się nie shańbi tem, żeby miał za datek choć jednem słówkiem podziękować.

Biedni ci mali potomkowie wielkich przodków! Jakże żywo przypominają Żydów z okresu pobabilońskiego. „*My jesteśmy synami Abrahama!*" mawiali z dumą. „*Jeśliście synowie Abrahamowi*," odpowiadał im na to Pan Jezus, „*pełnijcież uczynki Abrahamowe.*" (Joan. VIII, 37-39).

Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie na mnie zrobiła (czytana już dosyć dawno) jedna z konferencyi X. biskupa BOUGAUD, mająca za przedmiot zanik i stopniowe gaśnięcie rasy łacińskiej w wszechświecie, a natomiast rozwielmożnianie się coraz większe rasy germańskiej. Zajmowała ona mnie raz dlatego, iż rasa łacińska, bądź co bądź, jest główną przedstawicielką *katolicyzmu*, gdy przeciwnie germańska przeważnie jest *protestancką*, głównie jednak z tego powodu, ponieważ jako *tertium comparationis* przybierałem sobie rasę naszą, słowiańską, i usiłowałem zdać sobie sprawę, czy i o ile ta ustępuje, lub się opiera, nawałowi Teutonów, skierowanemu ku wschodowi. Ach! podobno jeszcześmy słabsi od Romanów, my, potomkowie Chrobrego i Sobieskiego. Ilebym mógł na ten temat pisać, ja, syn poznańskiej ziemi!...

Z zazdrością i szczerym podziwem patrzałem na Anglików, z którymi tutaj po raz pierwszy w życiu się spotykałem, żywych wzorów energii, pracowitości, obrotności, świadomości celu i silnej, nieugiętej woli: dumnych synów Albionu, spoglądających w świat tak wyzywająco i tak pewni siebie, jak gdyby jedną nogą opierali się o niezdobytą skałę gibraltarską, a drugą o trójząb Neptuna.

Ale wróćmy do Gibraltaru.

Już i tak silny z natury, dla wysokich i stromo na wszystkie boki opadających skał, które nadzwyczaj utrudniają wylądowanie, został Gibraltar nadto wzmocniony sztuką, a to przemyślnemi, na zewnątrz, a więcej jeszcze na wewnątrz skały, dokonanemi dzie-

*) = *czas to pieniądz*. Przysłowie angielskie.

łami architektury wojennej. Nietylko obstawiono głaz zewsząd licznemi bateryami, ale wykuto w jego wnętrzu *kazematy* (= lochy zakryte), do których, w razie potrzeby, załoga schronić się, i w których bezpiecznie ukryć może żywność i amunicyę. W *kazematach* tych ustawiono również część bateryi, z których na zewnątrz widać tylko ciemne otwory. Głębokie, również w skale wykute cysterny, zbierają i przechowują wodę deszczową. Z górą 600 armat ciężkiego kalibru broni twierdzy i zasłania jedyne miejsce, gdzie wylądować można, pociski ich zaś panują wszechwładnie nad całą cieśniną tak dalece, że bez zezwolenia teraźniejszych władców twierdzy, żaden statek ani z morza Środziemnego na Atlantyk wyjść, ani z tegoż do pierwszego wpłynąćby nie mógł.

Całe to utwierdzenie i wszystkie wogóle dzieła architektury wojennej dokonali tu Anglicy, którzy miejscowość tę znienacka opanowali byli r. 1704 i od tego czasu nigdy jej sobie wydrzeć nie pozwolili, strzegąc jej jak źrenicy oka. Utrzymują tam liczną nader załogę, dowództwo zaś powierzają tylko oficerom wypróbowanej wierności. Nie tak dawno jeszcze temu, ci ostatni musieli rodziny swe zostawiać w A n g l i i jako zakładników, którzy osobami swemi ręczyli za wierność ojców i mężów, pełniących służbę wojskową w gibraltarskiej twierdzy. Faktem jest, że i w czasie pokoju najściślejszy i najsurowszy nad całą załogą — od samegoż komendanta twierdzy aż do ostatniego prostego żołnierza — wykonywa się dozór. Przypomniało mi się tutaj, co nam raz za życia swego opowiadał był we V a l s a l i c e śp. X. August C z a r t o r y s k i, jak za czasu jego tamże pobytu, samegoż komendanta twierdzy, który przebywając w mieście, spóźnił się był z powrotem, straż nie wpuściła za bramę.

Cudzoziemcy nie mogą się w twierdzy dłużej zatrzymać nad jedną dobę, chyba że mają osobne pozwolenie na dłuższy pobyt, który jednakże w żadnym razie nie może się przeciągnąć nad *jeden* miesiąc. Kupcy, nie mający tam stałego sklepu albo składu, zmuszeni są za nadejściem nocy fortecę opuścić, miejscowi zaś handlarze i wszystkie wogóle osoby cywilne, nie mogą się nocą ruszyć z domu bez latarni i glejtu.

Port gibraltarski nadzwyczaj jest ożywiony i on-to głównie przyczynia się do nadania życia miastu, które bez niego, położone na samotnej skale, bez wątpienia małoby swoim mieszkańcom dostarczać mogło rozrywek. Najpiękniejsze, jako tako dostępne punkta obszernej skały, zapełnione są pysznemi willami, świadczącemi o dostatkach ich właścicieli (kupców angielskich).

Z wyżyn skały widzi się po drugiej stronie cieśniny miasto C e u t a, posiadłość hiszpańską na afrykańskiem wybrzeżu. Silny nader prąd wody wlewa ustawicznie wody A t l a n t y k u do morza Środziemnego i ażeby go mógł pokonać, potrzebuje zazwyczaj statek, chcący wypłynąć na ocean, być wspartym wiatrem wschodnim. Prąd ten przypisuje się przedewszystkiem silnemu wydzielaniu się pary wodnej, odbywającemu się w morzu prawdziwie „*wśród*“ - ziemnem, co obniża jego powierzchnię i sprawia, że woda oceanu atlantyckiego musi ustawicznie wpływać do niego dla równowagi i dla przywrócenia jednostajnego poziomu wody.

Pod tym wszakże prądem *wierzchnim* (ze zachodu ku wschodowi, czyli z Atlantyku do morza Środziemnego), znajduje się prąd *dolny*, w odmiennym, wprost przeciwnym posuwający się kierunku (ze wschodu na zachód, czyli z morza Środziemnego ku Atlantykowi), stosunkowo silniejszy od pierwszego, jak to udowodni następujące zdarzenie.

Pewien majtek, należący do załogi stojącej w cieśninie, angielskiej wojennej fregaty, mając coś do naprawiania na dnie jednej z szalup swego statku, zatopiony w pracy, nie spostrzegł się, iż łódź się od fregaty odczepiła i zanim mógł wołać o pomoc, porwana prądem, już dość daleko go ku wschodowi uniosła. W tak krytycznem położeniu przyszło mu na myśl, przywiązać do liny wielkie wiadro, jakie się przypadkiem w szalupie znajdowało, obciążyć je młotkami i t. p. żelaznemi narzędziami, jakie miał pod ręką, i spuścić je do morza, by w ten sposób zwolnić przynajmniej biegu i oprzeć się, o ile to było możliwe, prądowi. Jakież było jego zdziwienie, gdy po małej chwili łódź się zatrzymała i nietylko dalej na wschód przestała pędzić, ale owszem, zaczęła się, zwolna wprawdzie, ale niemniej przeto wytrwale, kierować w wprost przeciwnym kierunku, ku zachodowi, w stronę fregaty, w pobliże której ostatecznie, przedarłszy się szczęśliwie przez wierzchni prąd, przybyła.

Majtek ten winien był swoje ocalenie *dolnemu* prądowi, idącemu z morza Środziemnego do Oceanu, silniejszemu, jak się na tym przykładzie pokazuje, od *wierzchniego*.

Na takich rozmowach, uwagach i rozmyślaniach upłynął nam dzień cały. Tymczasem zbliżył się wieczór, a z nim chwila naszego odjazdu. O 6^{ej} godzinie zrobiło się już ciemno. W przystani gibraltarskiej zapalono obie

morskie latarnie (jedną, utwierdzoną na skale, drugą zaś ruchomą), na brzegach afrykańskich zabłysła również latarnia morska koło Ceuty. Niedługo potem opuściliśmy gościnną przystań gibraltarską i wpłynęliśmy do cieśniny. Z Genui do Gibraltaru upłynęliśmy już 1,600 przeszło kilometrów, pozostawało ich nam zatem jeszcze 10,000.

Obawy dnia wczorajszego, jakie budziło w nas zachodzące słońce, bynajmniej nie okazały się płonnemi, gdyż kiedy właśnie przebywaliśmy cieśninę, zerwał się wicher, szamocąc na wszystkie strony naszą *Vittorią*. Pomimo niepogody, w kilkunastu zatrzymaliśmy się do późnej nocy na pokładzie, by nie uronić ani jednego z resztek „*widoków*“ (jeżeli tak można nazwać ciemne, wężykowate linie, odcinające się na mało co jaśniejszem tle widnokręgu), jakich nam od czasu do czasu dostarczały niknące w dali, szare brzegi Hiszpanii.

Już zostawiliśmy daleko za sobą przylądek *Tarifę*, o północy znikła nam z oczu ostatnia latarnia europejska, na przylądku *Trafalgar*, a z nią ostatni punkt styczny, wiążący nas z Europą. Wypłynęliśmy na szeroki Atlantyk: *old father Ocean* wziął nas w swoje objęcia. Nieledwie smętni opuściliśmy pokład. „*Żegnaj, Europo! może już na zawsze!*“ zawołało kilku. Zeszliśmy do kajut.

Z nadejściem dnia wicher nietylko nie ustawał, ale coraz więcej burzył powierzchnią Oceanu. Potężne bałwany z coraz większą siłą uderzały o statek, od czasu do czasu to jeden, to drugi z nich umiał się nań przedostać i zionąć falę, która zalewając cały prawie niższy pokład, za każdym razem wywoływała wśród trwożliwszych pasażerów okrzyki przestrachu, szczególniej u kobiet. Ten stan, na poły burzy, na poły niepogody, potrwał aż do wieczora, to też podobnie jak w dniach poprzednich, nietylko nikt z nas nie myślał o pożywieniu się, ale owszem zdawało się być najzupełniej zbytecznem i niepotrzebnie obciążać to, co kto jeszcze w sobie posiadał.

Przyczyniał się do tego więcej, niż w poprzednich dniach, sposób kołysania się statku: nie w kierunku *podłużnym*, od przodu okrętu ku tylnej jego części, jak było dotąd przez cały czas naszej podróży, nawet w czasie burzy, na morzu Śródziemnem, lecz w kierunku *poprzecznym*, od jednego boku ku drugiemu, — jak majtkowie twierdzili, rzecz zwykła na Atlantyku, kiedy się płynie w kierunku północno-południowym, lub odwrotnie.

Pomimo ogólnego osłabienia ci z podróżnych naszej klasy, którzy więcej czuli się na siłach, zajmowali się wspólnie z nami przysposabianiem tego wszystkiego, co posłużyć mogło w dniu następnym do obchodzenia święta Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, i w nadziei, że właśnie dzień jutrzejszy będzie nam sprzyjał w obchodzeniu tak pamiętnej dla całego naszego Zgromadzenia i tak drogiej dla nas uroczystości, poleciwszy się gorąco Najśw. Pannie, udaliśmy się na spoczynek, który jednakowoż żadnej nie przyniósł ulgi zmęczonym od ciągłego, całodziennego prawie stania i przechadzania się, o ile się dało, po pokładzie, członkom: owszem gwałtowne, całodzienne przechylanie się statku z jednego boku na drugi, było powodem, że niejedno niespodziane przewrócenie się, czy to na pokładzie, czy w samejże kajucie, naznaczyło ciało guzami i sińcami, które przez całą noc dały się boleśnie we znaki, a i dnia następnego jeszcze bardzo ujemnie oddziaływały na ogólny stan nietyle zdrowia, ile dobrego humoru.

Szczególnie ucierpiały łokcie, które zabezpieczając zazwyczaj ciało przed runięciem całym ciężarem na podłogę, za tę swoją przysługę najczęstsze i najboleśniejsze otrzymywały sińce.

8^my grudnia.

Nadzieje nasze spełzły na niczem. Widocznie Najśw. Marya Panna życzyła sobie być w ten dzień, przypominający najpiękniejszą Jej chwałę, od nas nie czczoną i wysławianą, lecz wzywaną na ratunek, w sposób, w jaki znajdujący się w ciężkiej niemocy, lub w niebezpieczeństwie życia, prosi i błaga Tego, od którego jest pewnym pomocy i wybawienia.

Wiatr, który wczoraj igrał tylko z naszym statkiem, dzisiaj szamotał nami tak, że większa część podróżnych, bladych jak trupy, pozbawionych sił, leżała niemal bezprzytomnie; trzeźwiono się nawzajem, bądź cytrynami, bądź pomarańczami, kwaskowatymi karmelkami i wciąganiem woni z rozmaitych flakoników; wszystko jednakże małą tylko sprawiało ulgę.

O pożywieniu i mowy być nie mogło. Ustawiczne kołysanie, a raczej kolebanie się *Vittorii* wprawiło ogół podróżnych w pewien rodzaj otrętwienia, który u niektórych (tak im się przynajmniej wydawało), równał się nieledwie powolnej śmierci.

W takiem ubezwładnieniu oczekiwaliśmy

niecierpliwie chwili przybicia do wysp kanaryjskich, gdzie mieliśmy się nieco zatrzymać; lecz już sama myśl, że mieliśmy tam dopłynąć dopiero na drugi dzień w południe, była dla nas straszną: w tym stanie wytrzymać jeszcze całą dobę, było dla wielu prawie niepodobnem.

Kapitan *Vittorii*, widząc tak krytyczne położenie biednych podróżnych, pocieszał, kogo na pokładzie napotkał, że morze niechybnie ku wieczorowi się uspokoi i że to tylko pierwsze dni podróży tak niekorzystnie wpływają na zdrowie, a pomimo tego dał rozkaz, by przyspieszono biegu i dzięki temu o 10 godzin wcześniej, aniżeli poprzednio było nam zapowiadane, zawinęliśmy do portu Las Palmas.

Wieczorem tego dnia, do obiadu zaledwie kilku się stawiło. Dzisiaj po raz pierwszy zabezpieczono nakrycia stołowe za pomocą umyślnie w tym celu urządzonych zamków, by nie spadły ze stołu, swoją drogą do podłogi silnie przymocowanego. Ponieważ zaś wszyscy bez wyjątku czuli potrzebę pożywienia się nieco, zaczem wynoszono dania (porcye) na pokład, a podróżni przyjmowali je nawet wbrew apetytowi, by zupełnie nie utracić sił.

Stan otrętwienia i nieczułości na zewnętrzne wrażenia, w jaki, ogółem wziąwszy, dzisiaj popadliśmy, nie przeszkadzał nam zająć się na chwilę grupą drobnych wysepek i skał, mimo których płynęliśmy, a nazwanych od miana największej z nich *grupą*, albo *wyspami Madeiry*.

Madeirą nazwali wyspę tę żeglarze portugalscy, którzy na niej r. 1419 po raz pierwszy byli wylądowali i zaraz dla swego kraju w posiadanie objęli, nazwali zaś tak, ponieważ cała była porosła lasami (*madeira* w jęz. portugalskim = *las*). Od kilku ognisk, jakie po swojem wylądowaniu na wyspie rozniecili, zajęły się pobliskie krzaki, następnie drzewa, niezadługo cała, 22 kilometry długa, a blisko 180 kilometrów obwodu mająca wyspa, stanęła w płomieniach. Lasy paliły się siedm dni. Pożar ten przyniósł właścicielom wyspy raczej korzyść, aniżeli szkodę. Zyskali bowiem żyzny nader grunt pod uprawę południowych owoców, zwłaszcza zaś wina. Zaszczepione tamże winne macice wydały więcej kiści winogron, aniżeli listków. Dziś jeszcze słynie wyspa z uprawy wina i na cały świat wywożą (czyste i prawdziwe, czy też tylko fałszowane — o tem niech rozstrzygają znawcy) jej *Verdeho* i *Malvasia*, dziś jeszcze śpiewa się w Polsce o utracyuszach i marnotrawcach ojczystego mienia:

... choć w Gdańsku nie płaci pszenica,
piją *szampany* i *madery* sławne,
ale też zato na dobrach szlachcica
ciążą djabelnie te listy zastawne.

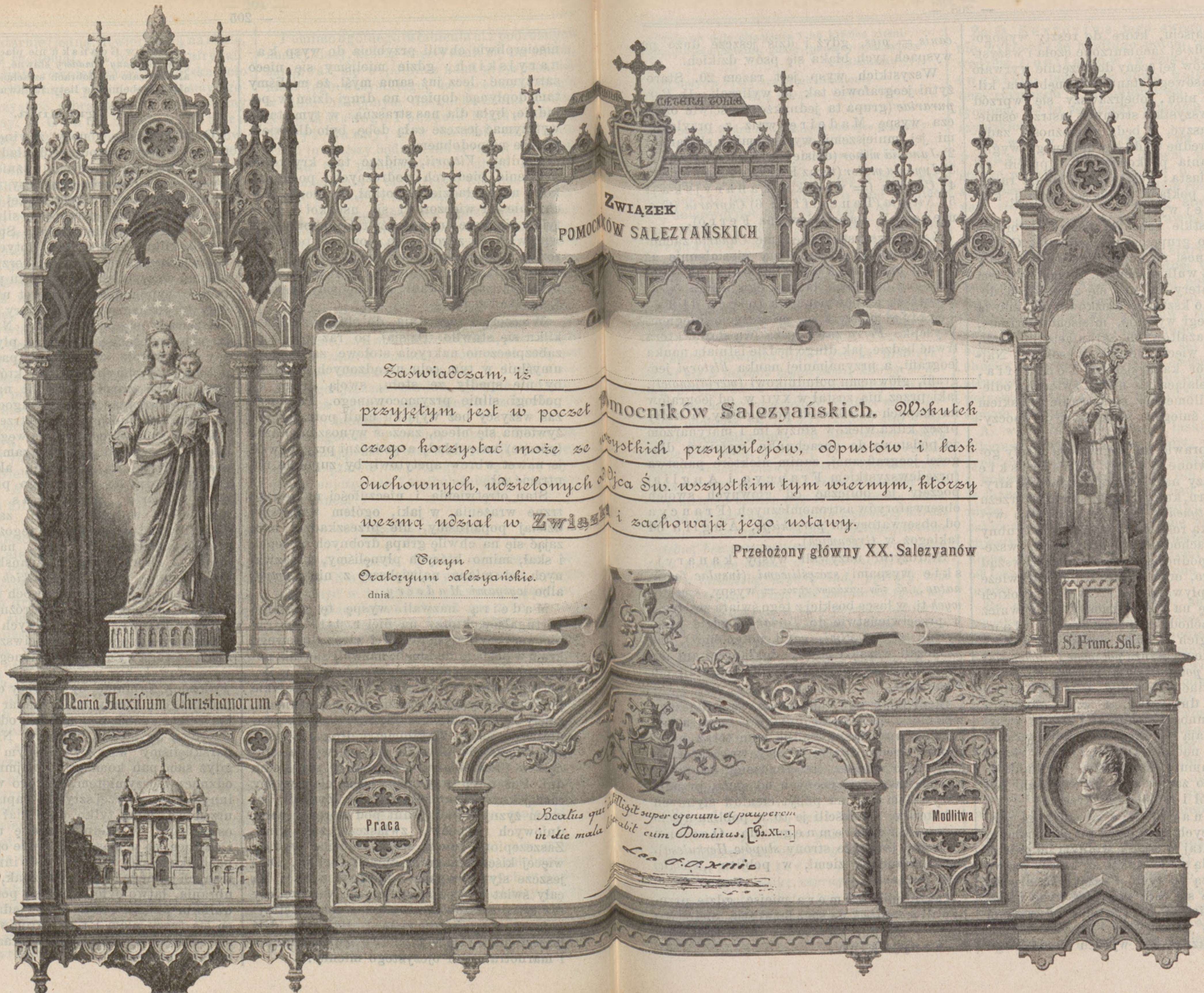
9ty grudnia.

O 2ej godzinie w nocy zawinęła wreszcie nasza *Vittoria* do portu (dokładniej: w *pobliże* portu) największej i najważniejszej z tych wysp, *Gran Canaria*, gdzie czy to skutkiem stanu morza, tym razem więcej spokojnego, czy też z powodu zarzucenia silnie kotwicy, okręt stał jakby nieruchomy. Spokojne spędzenie kilku godzin, bez dotychczasowego ustawicznego kołysania się, korzystnie wpłynęło na wszystkich bez wyjątku podróżnych: twarze wypogodzone, a nawet uśmiechnięte, dały to poznać wyraźnie, dobry humor wrócił, zaczęły się sypać żarty. Nad rankiem łagodne, wiosenne powietrze, płynące z wyspy, wywabiło wszystkich pasażerów na pokład, a drobny deszczyk, który go przez chwil kilka zrosił, pozwolił nam pełnemi piersiami wciągać świeże, wilgocią nasiąkłe, od kilku dni nieznane powietrze.

Celem zaopatrzenia się we węgle na dalszą podróż i w słodką wodę, zamierzał okręt nasz wpłynąć do przystani, ale że przed zbliżeniem się do właściwego portu wyspy *Gran Canaria*, miasta Las Palmas, miał uledz wprzód rewizyi, zatem musiał się zatrzymać w pewnej od tegoż odległości.

Około godziny 8ej rano, na maleńkim statku z chorągiewką hiszpańską (cała bowiem grupa wysp *kanaryjskich* należy do Hiszpanii), przybyło dwóch urzędników. Zażądali najpierw spisu podróżnych; przejrzawszy takowy, jeden z owych komisarzy, z właściwą sobie flegmą, zwróciwszy się do nas, z całą powagą wysoko postawionego urzędnika wyrecytował, bez wątpienia na pamięć już wyuczoną formułkę, by wszyscy ci z naszych podróżnych, którzy mieli zamiar wysiąść na ląd celem zwiedzenia miasta, odznaczali się wzorową czystością ubrania. Na te słowa parsknęliśmy wszyscy głośnym śmiechem, gdyż sam pan komisarz bynajmniej się nie odznaczał przymiotem, którego wymagał od innych: co najwyżej sztywno-napuszoną, iście urzędową, miną tylko odróżniał się np. od ostatniego, w szeroką łopatę uzbrojonego i żarzące się w maszynie węgle opatrującego pachołka naszej *Vittorii*; co do innych zewnętrznych jednego i drugiego oznak, a zwłaszcza ubrania, łatwo było można się pomylić, gdyż uniform p. komisarza odpowiadał zupełnie, co się tyczy plam i t. p. strojowi, w jakim się codziennie oczom naszym ukazywał wspomniany palacz.

**


CETERA TOLLE

Związek Pomocników Salezyańskich

Zaświadczam, iż ....

przyjętym jest w poczet Pomocników Salezyańskich. Wskutek czego korzystać może ze wszystkich przywilejów, odpustów i łask duchownych, udzielonych od Ojca Św. wszystkim tym wiernym, którzy wezmą udział w Związku i zachowają jego ustawy.

Przełożony główny XX. Salezyanów

Turyn
Oratoryum salezyańskie.
dnia ....

Maria Auxilium Christianorum

S. Franc. Sal.

Praca

Modlitwa

Beatus qui intelligit super egenum et pauperem in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1.]

Leo P.P. XIII

Po tem zajściu, które do reszty wypogodziło najbardziej zachmurzone czoła i wszystkich świadków tej sceny doszczętnie wyrwało z dotychczasowego stanu przygnębienia, kilkunastu z nich, obejrzawszy się wprzód dobrze na wszystkie strony w lustrze, ośmieliło sobie tuszyć, iż będą w możności zadowolnić wybredne co do zewnętrznego wyglądu wymagania p. komisarza i puścili się łódką do miasta; reszta przekładała raczej podziwiać z pokładu piękności uroczej, kanaryjskiej wyspy.

Jak wszystkie inne jej siostry, tworzące razem tę oto grupę wysp, podobnież Gran Canaria nosi na sobie niewątpliwe ślady pochodzenia wulkanicznego. Świadczą o tem wygasłe kratery, na niej się znajdujące, dowodzą góry o kształcie stożkowatym, mówią za tem brzegi wysokie, miejscami strome, o skałach bazaltowych, graniastosłupnych, nieraz 150 i więcej metrów wysokich. Najwyższa z gór kanaryjskich, Teneriffa, wysoko strzelająca ku niebu, świeci na odległość 200 kilometrów po Oceanie blaskiem odwiecznych śniegów, na jej szczycie spoczywających.

Położone prawie na pograniczu strefy gorącej, wystawione są wyspy kanaryjskie w czasie suszy na zabójczą działalność afrykańskiego żaru, który na pobliskiem wybrzeżu *czarnego kontynentu* (Afryki) wszystko wysusza, wszelką roślinność wyniszcza. Zgubny ten wpływ wschodniego wiatru łagodzi wszelako wilgoć, podnosząca się z morza, zewsząd je okalającego, oraz częste, a zawsze świeże powiewy, napływające ze szczytów wysokich gór, które się na nich wznoszą, jak również z dalekich zachodnich przestworzy Atlantyku. Błogich tych skutków jednakże zażywają tylko wybrzeża *północne* i *zachodnie*; na brzegach *południowych* i *wschodnich* potrzebuje powiać od strony Afryki wiatr choćby jeno dni kilka, a wraz obumiera wszelka roślinność, strumyki i źródła wysychają, pojawiają się zaraźliwe choroby, a na domiar złego nadlatują z Afryki razem z wiatrem chmury szarańczy, pochłaniającej resztę, co żar wiatru na wyspach był oszczędził, ziół i mniejszych krzewin.

Wyspy kanaryjskie są ojczyzną ptaków śpiewających, noszących toż samo miano, a żyjących tutaj w stanie wolnym po gajach i lasach, mylą się jednakże ci, którzy nazwę wysp wywodzą od tych ptaszą t: *kanaryjską* bowiem zowie się cała ta grupa wysp i skał od jednej z nich tj. od Canaria (zwanej dzisiaj *wielką kanaryjską*), ta zaś znowu otrzymała nazwę od wyrazu łacińskiego *canis* = *pies*, gdyż i dziś jeszcze dużo po wyspach tych błąka się psów dzikich.

Wszystkich wysp jest razem 20. Starożytni jeografowie tak je wyliczali: 1) *Purpurariae* (grupa ta jednakże właściwie oznacza wyspę Madeirę wraz z przyległemi jej mniejszemi wysepkami i skałami); 2) *Junonia minor* (dzisiejsza Lanzarote); 3) *Junonia maior* (teraz Fuerteventura); 4) *Canaria* (= wielka kanaryjska); 5) *Nivaria* (Teneriffa); 6) *Capraria* (Gomera); 7) *Ombrios* (wyspa Ferro).

Z nich wszystkich jedynie *Canaria* zachowała nazwę swą starożytną niezmiennie aż do dni naszych. *Nivaria* słusznie tak była nazwaną od słowa łacińskiego *nix* = *śnieg*, najwyższa jej bowiem góra (picco di Teneriffa) pokryta jest na szczycie śniegiem. Wysepka *Ferro* zawdzięcza swą sławę, która trwać będzie, jak długo będzie istniała nauka jeografii, a przynajmniej nauka *historyi* jeografii, głównemu południkowi (*meridianowi*), jaki przez nią został w XVII w. od jeografów na mapach i atlasach pociągnięty, a który przez kilka wieków służył im i marynarzom za podstawę do obrachunku wymiaru długości jeograficznej, zanim niektóre państwa (przedewszystkiem Francya i Anglia) poczęły ją obliczać od głównych swoich obserwatoryów astronomicznych (Francya od obserwatoryum *paryskiego*, Anglia od takiegoż w *Greenwich*).

Starożytni nazywali wyspy kanaryjskie wyspami *szczęśliwemi* (*insulae fortunatae*, αἱ τῶν μακάρων νῆσοι = wyspy *szczęśliwych* tj. w łasce boskiej z tego świata zeszłych, w przeciwieństwie do *Tartarus*, gdzie przebywali *nieszczęśliwi*, czyli potępieńcy), nie oznaczali wszakże nigdy dokładniej ani ich jeograficznego położenia, ani podawali ich wymiarów.

Skąd i jak powstała ta nazwa i dlaczego właśnie zastosowana była do tej, a nie innej, grupy wysp, trudno nam teraz przychodzi dociec. Poeci greccy wyobrażali je sobie jako miejsce, przeznaczone na pobyt w nich dusz, rozłączonych od ciała, przedewszystkiem zaś na pobyt cieniów słynnych bohaterów, a mieścili je to w pobliżu ujścia morza Śródziemnego do Oceanu (z tamtej jednakże strony *słupów Herkulesa*), to na krańcach ziemi, w pobliżu „*wielkiej rzeki Oceanu.*“

Także opis Homera miejsc, gdzie przebywali *szczęśliwi*, da się z łatwością, nieledwie słowo w słowo, zastosować do grupy wysp kanaryjskich.

Ciebie na pole elizejskie i na krańce ziemi
poślą nieśmiertelni, gdzie (panuje) jasnowłosy
[Radamantys;
tam upływa życie bez trosk ludziom;
ni śniegu, ni długiej zimy, ni deszczu (nie ma
[tam śladu),
lecz zawsze Zefiru dźwięcznoświszczące powiewy
Okeanos śle dla orzeźwienia ludzi.
(*Odyssea*, IV, 563 ss.).

Rzymianie dowiedzieli się o tych wyspach po raz pierwszy dopiero pod koniec wojny domowej pomiędzy Sullą a Mariusem (87-82 przed Chr.). W życiorysie Sertoriusa (rozdz. VIII) pisze Plutarch, że ten zagorzały stronnik Mariusa, zmuszony do ucieczki, przebywszy szczęśliwie burzę morską i popłynąwszy poza *słupy Herkulesa*, wylądował w Hiszpanii, wyżej ujścia rzeki *Baetis* (dzisiaj *Guadalquivir*).

„*Tamże* (powiada dalej grecki historyk) *zetknął się z jakimiś żeglarzami, którzy co dopiero przybywali z wysp atlantyckich, a było ich dwie, rozdzielone wąskim nader kanałem, oddalone od Lybii* 10,000 *staj i nazywane* **szczęśliwemi**. *Na nich deszcz nigdy prawie nie pada, a jeżeli, to bardzo rzadko i umiarkowanie. Zazwyczaj wieją tam wietrzyki łagodne i rosą przesiąkłe, które użyzniają ziemię i nietylko sprawiają, że ta staje się nader dogodną do uprawy, ale nadto wywołują wzrost krzewów owocowych i drzew, wydających same ze siebie, bez przyczynienia się hodowcy, smaczne i pożywne owoce, w ilości takiej, że same jedne z łatwością używią lud, pędzący tam życie bez troski. Wieje zaś zawsze na tych wyspach miły wietrzyk, a to z powodu umiarkowanych pór roku i łagodnych tychże zmian. Wichry bowiem północne i południowe, które z naszej zerwawszy się ziemi, skierowały się ku nim, wpadłszy w bezmiar przestrzeni, jaka* **wyspy szczęśliwe** *dzieli od ziemi, niezadługo tracą swój pęd, zwalniają biegu i niebawem nikną w próżni, nie dotarłszy, dokąd się były rozpędziły. Wiatry zachodnie zaś i wschodnie, które tam wieją, niosą ze sobą od strony Oceanu lekkie chmurki, wilgocią brzemienne, które tam i sam rozrzucając, ochładzają mieszkańców i wszystko, co tam rośnie.*

Zaczem barbarzyńcy sami mocno wierzą, że tam właśnie się znajduje **pole elizejskie** *i pobyt* **szczęśliwych**, *opiewany przez Homera.*

Słysząc to Sertorius, nadzwyczaj się zapalił do tych wysp; zapragnął udać się na nie już na stały pobyt i żyć tam w spokoju, porzuciwszy na zawsze myśl o panowaniu i syt będąc wojen.“

Tyle Plutarch.

Że Q. Sertorius tego swego zamiaru nie wykonał i że niedługo potem, zostawszy wodzem Lusitanów (w dzisiejszej Portugalii), podjął na nowo walkę z senatem rzymskim i stronnictwem arystokratycznem, — to są rzeczy wiadome z dziejów rzymskich.

Tak więc w ciągu długiej, na misye do Patagonii podróży, danem nam było, stanąć na kilkanaście godzin u stóp *wysp szczęśliwych*, owych wysp, gdzie rozlegały się *pola elizejskie*, gdzie (według starożytnych pogan) przebywały dusze sprawiedliwych po śmierci.

Tutaj więc — jeśli słuszna starych Rzymian i Greków wajdelotom wierzyć — wieczna panuje wiosna. Tutaj powiew wiatrów nie inaczej daje się uczuwać, jak roztaczając wokół miłą woń kwiatów; tutaj słońce światłodajne, tu wszystkie inne ciała niebieskie nigdy nie pokrywają się obłokiem, choćby jasnym, tem mniej zaś ciemnią chmur, straszących śmiertelników hukiem gromów, połyskiem błyskawic i śmierć a zgubę niosących piorunów.

A więc to tutaj rosły laski, złożone z krzewów wonnych, róż i mirt, wśród których przechadzały się cienie sprawiedliwych i bohaterów. Żadne ptaszę nie szybowało w lazurze roztaczającego się nad Elisium nieba, i jednemu tylko słowikowi wolno było zakłócać błogą ciszę i własne opiewać zachwyty. Jednakże wielcy wieszcze, w zgodnym chórze z najsłynniejszymi piewcami, od czasu do czasu natchnione głosili rapsody.

Po całym obszarze wysp, słodki szmer rzeczki Lete dawał się słyszeć, a lekkie jej fale w wieczne zapomnienie podawały wszelkie bóle i żałosne wspomnienia minionego życia. Ziemia, strojna w kwiaty i śmiejące się łąki, trzy razy na rok odnawiała swe płody, kolejno z siebie wydając, to kwiaty i zioła, to słodkie, dojrzałe owoce.

Tutaj nie znano niedostatku ni głodu, chorób ni bólów, tutaj oko nie napotykało nigdzie zmarszczków zgrzybiałej starości, tu wieczna panowała młodość, nieśmiertelnie i niezmiennie przechowywał się ten wiek, w którym za życia najpiękniejsze spędziło się chwile.

Cieniom pozostały dawne popędy, nie wygasły dawne ich namiętności; co lubili za życia, do tego dążyli także po śmierci, pozostały im te same zachcianki, zachował się dawny zawód, został ten sam sposób życia.

Cień walecznego Achillesa, nie mogąc iść w bój, ni pasować się z nieprzyjacielem

— gdyż tych na *wyspach szczęśliwych* nie było i być nie mogło, — szukał i znajdował wrogów po lasach w postaci dzikich zwierząt i zacięte z nimi, a zawsze pomyślnie dla siebie kończące się, staczał walki; przebiegły O d y s s e u s wygłaszał, licznem otoczony gronem, własne przygody; mądry N e s t o r opowiadał liczne zdarzenia, zaszłe w ciągu długiego swojego życia. Silni a zwinni atleci pasowali się ze sobą; młódź, żądna zabaw, oddawała się igrzyskom; starsi, spędzali czas, przypatrując się grze i zabawie młodych, czarę wina trzymając w dłoni.

Fizyczne te zabawy i igrzyska trzymały zdala, a nawet całkiem uniemożliwiały pojawienie się złego moralnego w licznem gronie *szczęśliwych*: żądza panowania i wynoszenia się kosztem drugich, nienawiść, zazdrość i wszelkie inne złe namiętności, nieznane były mieszkańcom E l i s i u m. S a t u r n, wygnany z ziemi przez J o w i s z a, przywrócił tu na nowo wiek złoty, który tak krótko trwał był na ziemi.

Nie wiem, jak długo jeszcze snułbym wątek takich i tym podobnych marzeń, gdyż i wspomnienia z czasów szkolnych, a tak jeszcze świeżych, i co tylko przebyte burze morskie, po których zaznaliśmy chwilę błogiego, dla skołatanego i ciała i umysłu tyle potrzebnego wypoczynku w tej oto przystani i u stóp tej oto wyspy, sam wreszcie widok tej najbujniejszą, iście podzwrotnikową roślinnością pokrytej — uroczymi ogrodami, pełnymi wiosennego życia, zasianej wyspy, zwłaszcza zaś widok wysmukłych palm, rozrzuconych gromadkami po całem wybrzeżu i po najbliższych, oku dostępnych dolinach i skłonach pagórków, — wszystko to razem wzięte nadzwyczaj mnie do dumań i marzeń usposabiało.

Wyrwał mnie z nich głos SIKORY, wskazującego na kilkadziesiąt łódek, kierujących się pospiesznie od strony miasta (P a l m a s) ku naszemu okrętowi. Niezadługo zaczął nas dolatywać coraz wyraźniejszy i coraz śliczniejszy, coraz pieszczotliwszy śpiew ptaków, które jakoby starały się ukoić nasz organ słuchu, tak bardzo rozdrażniony kilkodniowym, a prawie bezustannym szumem bałwanów morskich. Niedługo potrzebowaliśmy czekać, by się przekonać, co to są za ptaszęta, które tak miłymi witały nas dźwiękami.

Większa część zbliżających się łodzi naładowaną była rozmaitej wielkości klatkami, pełnemi pięknych kanarków. Uzyskawszy pozwolenie naszego kapitana, w jednej chwili pokład *Vittorii* zamienił się w targowisko kanarków, wysilających się i popisujących przed nami do tego stopnia, że chcąc mówić, trzeba było podnosić głos, by się wzajemnie módz porozumieć, — czego jednakże ptaszynom bynajmniej nie wzięliśmy za złe.

Prawie w ciągłym zachwycie spędziliśmy tak w tym ogrodzie ptasząt czas aż ku południowi, a raczej aż do chwili, w której dano znak, że zbliżył się czas wyruszenia z przystani na otwarte morze. Aż mrowie po nas przeszło i skrzywiliśmy się wszyscy, gdy posłyszeliśmy głośne oznajmienie jednego z marynarzy, że trzeba handlarzom ustąpić z pokładu. Cóż było robić? Chcąc nie chcąc, trzeba się było z kanarkami pożegnać. Żal ten rozestania się z przyjemnemi ptaszynami został przynajmniej złagodzony tem, iż znaczna ich ilość przeszła na własność niektórych z naszych współpodróżnych.

Na innych łódkach były wystawione rozmaitego rodzaju owoce tych wysp, których niemałe zapasy zabrał magazyn okrętowy dla podróżnych. Pomarańcze zwłaszcza kanaryjskie przewyższają włoskie tak wielkością, jak bez porównania przyjemniejszym smakiem.

Jedna rzecz jeszcze nietylko nas bawiła, ale wprost wprawiała w podziw.

Kto kupował owoc, otrzymywał go od przekupniów, na łodziach się znajdujących, w koszyczkach, przymocowanych do długiej żerdzi; za pomocą tegoż samego koszyczka odbierano również pieniądze. Raz, przez nieostrożność, jeden z pasażerów, chcąc wrzucić do koszyczka pieniądze, chybił: zamiast do koszyczka, wpadła sztuka pieniężna do wody. Widząc to chłopiec jakiś, około 12 lat mieć mogący a siedzący przy wiosłach na łodzi, w okamgnieniu zrzucił z siebie koszulę i z nadzwyczajną zręcznością zanurzył się w morzu. Z pewnym przestrachem spoglądaliśmy wszyscy w miejsce, gdzie zniknął nam z oczu, aż oto po kilku minutach, trzymając monetę w zębach, wynurzył się na powierzchnią wody. Wtenczas okrzyk podziwu rozległ się na pokładzie, a na zapytanie, czyby chciał powtórzyć sztukę, jakiej co tylko dokazał, nietylko był do tego gotowym o n, ale i wszyscy jego rówiennicy z innych łódek stanęli rzędem do popisu. Kilkanaście monet rzucono wtenczas z pokładu w morze, a ani jedna nie zaginęła.

Nas misyonarzy poczęli owi chłopcy prosić o darowanie im medalików. Nie odmówiliśmy im tego i za pomocą owych koszyczków spuszczaliśmy im do łodzi medaliki i krzyżyki; czyniliśmy to tem chętniej, widząc,

z jakiem uczuciem wiary i nabożeństwa całowali te przedmioty i przyciskali do piersi.

Zabawiając się w taki sposób to z kanarkami, to rzucaniem monet do morza, zapomnieliśmy już całkiem o niemiłych przygodach, zaszłych w dniach ubiegłych; kiedy jednakże około godziny 1ej po południu okręt zaczął ruszać z miejsca, żywo przypomnieliśmy sobie wszystkie przygody i wszystkie zajścia w ciągu dotychczasowej podróży. Niepokój ogarnął na nowo wszystkich, żal nam się robiło opuścić tak miłą, tak zaciszną przystań, i niełatwo daliśmy się przekonać marynarzom, że odtąd podróż o wiele będzie znośniejszą. Niebawem wszakże mieliśmy się przekonać, że mieli słuszność.

Statek, obciążony nowym zapasem węgla i t. d. szedł równiej we wodzie, a łagodny wietrzyk południowy nie tak silnie oddziaływał na ruchomą powierzchnię morza. Ponieważ zaś celem wstąpienia na linię, w której kierunku odbywać się miała dalsza nasza podróż, musieliśmy wpierw zatoczyć półkole, a to płynąc wzdłuż brzegów na około wyspy, mieliśmy więc jeszcze sposobność widzieć znaczną część pięknych jej wybrzeży i dolin, które z wyżyn lekko spuszczały się ku morzu.

Okręt już znacznie był oddalonym od Las Palmas, a myśmy długo jeszcze sycili nasze oczy pięknym widokiem tych niezapomnianych, prawdziwie *szczęśliwych*, wysp.

Wreszcie straciliśmy je z oczu, ale długo jeszcze sterczał nad niemi 3,700 metrów wysoki, dymiący ciągle, stożek wulkaniczny *Pico de Teneriffa*, u szczytu lekkim zasłonięty obłokiem. Ile już wieków góruje ten olbrzym nad tą częścią Oceanu? Iluż śmiałych żeglarzy, iluż zdobywców, ilu wychodźców, wyniosły jego szczyt witał już i żegnał? U stóp jego zarzucali kotwicę wszyscy wielcy odkrywcy nowych ziem i widnokręgów nowych. Czyli puszczając się na wschód i opływając Afrykę szukali drogi do Indyi, czyli spodziewali się ją znaleźć kierując się na zachód, w poprzek Oceanu, — u stóp olbrzyma *Teneryffy*, przy *wyspach szczęśliwych*, rozchodzili się w obie strony.

Tędy płynął Bartłomiej Diaz, kiedy r. 1487 dotarł do przylądka, który on nazwał „*burzliwym*,“ a który zamieniono na „*dobrej nadziei*,“ tędy ciągła flota Vasco de Gama, Cabral'a i Albuquerque'a, tu r. 1492 przystanął na chwilę Krzysztof Kolumb wraz z trzema swymi statkami, zanim się puścił w nieznany bezmiar Atlantyku.

A po nich iluż tędy ciągło awanturników, wędrownych bohemów wszelkiego rodzaju, których do nowoodkrytych ziem gnała jedna wspólna żądza: *auri sacra fames* (= przeklęty głód złota).

Iluż biednych wychodźców, iluż wygnańców przeciągało tędy i przeciąga, udając się do obcych krajów, by szukać tam chleba i szczęścia, którego nie najdowali w ojczyźnie!

Tym samym, co owi wielcy zdobywcy, szlakiem płynęły tędy inne jeszcze hufce: z krzyżem na piersiach, z imieniem Maryi na ustach. Również jak tamci, wyruszali w świat szeroki, by podbijać ludy i zdobywać kraje, — więcej nawet niż tamci: — bo *wszystkie* bez wyjątku narody i *cały* świat, — nie dla siebie wszakże, ani dla swej ojczyzny, lecz dla Tego, który za wszystkich położył życie i przelał krew Swoją, którego *jarzmo jest słodkie*, *a brzemię lekkie*, któremu służyć, jest wspólnie z nim królować — Chrystusa.

Tędy płynął św. Franciszek Ksawery, św. Piotr Claver, płynęło tylu innych Świętych z licznymi hufcami misyonarzy, — licznymi, a ciągle jeszcze nieskończenie szczupłymi w porównaniu do niezliczonych ludów i ziem, gdzie Chrystus jeszcze nie panuje i gdzie Go wcale nie znają.

Wstępując w ich ślady, od niewielu lat płynie tędy co roku drużyna synów X. Bosko. Wśród ich grona coraz liczniej zaczynają się ukazywać synowie kraju, który wiekami był przedmurzem, był twierdzą chrześcijaństwa, który ościennym ludom światło prawdziwej Wiary otwierał, — a którzy z pomocą Bożą postanowili pełnić dalej, ile słabe siły na to pozwolą, posłannictwo swego narodu.

O Polsko! synowie twoi wspominają cię zawsze i wszędzie, nawet tu, na dalekich toniach Oceanu . . . . :

Tymczasem *Vittoria* pędziła dalej i dalej.

Ku wielkiemu naszemu zadowoleniu zauważyliśmy, że opuściwszy *wyspy szczęśliwych* wstąpiliśmy jak gdyby w nowy okres podróży: morze było stale wypogodzone, powietrze łagodne usposobiło nas jak najlepiej. Statek, nie napotykając na opór bałwanów, swobodnie i szybko pomykał się naprzód. Nauczeni doświadczeniem dni ubiegłych, cisnęli się teraz podróżni przeważnie na środek okrętu, gdzie stosunkowo najmniej kołysanie uczuć się dawało.

Taki stan rzeczy przyczynił się wielce do wzmocnienia naszych sił i do zaostrzenia apetytu, który tego zwłaszcza dnia dał się poznać przy wspólnym obiedzie. Tak swo-

bodni i ożywieni, jak dzisiaj, nie czuliśmy się w ciągu całotygodniowej, dotychczasowej podróży jeszcze ani razu. Nadzwyczajna wesołość panowała na pokładzie aż do późnego wieczora, czego ożywione i pełne dowcipu rozmowy były dowodem. Ośmieliliśmy wróżyć sobie, że może wszechpotężny, sędziwy władca mórz i oceanów (proszę mi darować ten język mitologiczny i te klasyczne wspomnienia) ulituje się nad nami i zostawi nas po tylu i tak przykrych przejściach na resztę podróży w spokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIERWSZE
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE
ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,
założonego przez
X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.

Rozdział VII.

Oratoryum przeniesione na łąkę. — Zgłodniały chłopiec. — Wycieczka na *Soperga*. — Karność wojskowa. — Markiz CAVOUR i jego pogróżki.

Gdy księdzu BOSKO wypowiedziano mieszkanie w domu X. Moretty, nie zraził się bynajmniej tą nową przeciwnością, lecz wszedłszy zaraz w układy z braćmi Defilippi, wynajął od nich łąkę na Valdocco, tam gdzie obecnie wznosi się lejarnia.

Na tę więc łąkę, otoczoną naokoło prostym, pleciony płotem, przez który jednakże z łatwością mogły przecisnąć się nawet psy (jak też w istocie dość często czyniły, łącząc radosne swoje poszczekiwanie z hałasem bawiących się chłopców), przeniesiono Oratoryum w marcu 1846 r. Odbywające się na otwartem miejscu, pod gołem niebem, zabawy, opasujące łąkę ze wszech stron wiejskie ogrodzenie, wrzaski chłopców, ich gry, okrzyki radosne i śpiewy, — zwróciły wnet na siebie uwagę publiczności, a liczba uczęszczających na świąteczne zebrania chłopców wzrosła od razu do 400. W miarę zatem, jak źli, lub co najmniej niechętni, ludzie zmuszali X. BOSKO do przenoszenia się z miejsca na miejsce, Pan Bóg pomnażał coraz więcej jego duchowną rodzinę i podawał mu środki i sposobność do świadczenia młodzieży coraz więcej dobrego.

Może tu kto zapyta: Lecz jakżeż można było na łące odbywać praktyki religijne? Odpowiadam, że odprawiano je w sposób dość romantyczny, lub lepiej powiedziawszy, tak jak je odprawiali św. Apostołowie i pierwsi chrześcijanie.

Spowiedź np. odbywała się w następujący sposób.

W dni świąteczne i co niedzielę udawał się X. BOSKO o stósownej godzinie z pobliskiego *schroniska* na łąkę, gdzie powoli chłopcy zaczęli się zgromadzać. Tam siadał na krześle lub ławeczce i słuchał spowiedzi tych z nich, którzy w tym właśnie celu wcześniej od innych na łące się stawili, podczas gdy inni, klęcząc wokoło niego na ziemi, częścią do spowiedzi się przygotowywali, częścią odmawiali modlitwy dziękczynne. Podczas gdy się odbywała spowiedź po jednej stronie łąki, na drugiej w tymże czasie reszta młodzieży, będąca już po spowiedzi, zebrana w koło, śpiewała jaką pieśń nabożną, lub też słuchała czytania duchownego albo opowiadania budującego jakiego przykładu pod kierunkiem jednego ze starszych towarzyszy. Byli także tacy, co się zabawiali skromnie, bądź rozmawiając między sobą półgłosem, bądź grając w kręgle lub piłkę, bądź wreszcie chodząc na szczudłach i t. p.

Skończywszy słuchanie spowiedzi, powstawał X. BOSKO ze swego prawdziwie apostolskiego konfesyonału; wtenczas jeden z chłopców, z góry już na ten urząd wyznaczony, w braku dzwonka posługując się starym bębnem, który śmiało można było zaliczyć do epoki przedpotopowej, zgromadzał wszystkich uczestników na środek łąki; inny znowu dął ze wszystkich sił w dziurawą, chrapliwą trąbę i nakazywał milczenie, poczem X. BOSKO zabierał głos i naznaczał kościół, dokąd się miano udać dla wysłuchania Mszy św. i przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej. Następnie wszyscy wyruszali z łąki w porządku i w skupieniu ducha, kierując swe kroki do wskazanej świątyni Pańskiej i czynili tam zadość przepisom Kościoła.

Po nabożeństwie każdy chłopiec szedł do domu na śniadanie lub obiad.

Po południu, skoro tylko mogli wyrwać się z domu, zbierali się znowu wszyscy na sławetnej łące, gdzie natychmiast rozpoczynały się gry i zabawy, a zawsze pod kierownictwem obydwóch kapłanów, prawdziwie

aniołów stróżów tej młodzieży. O naznaczonym czasie dawał X. Bosko znak doboszowi, by uderzył w wiadomy taraban, poczem porozdzielał chłopców wedle wieku i stopnia już otrzymanej nauki na kilka gromadek, i tak siedząc na zielonej podłodze słuchano przez pół godziny wykładu katechizmu. Odśpiewawszy następnie kilka psalmów z nieszpór, tudzież hymny *Ave maris stella* i *Magnificat*, wstępował on sam, lub X. Dr. Borel, na ławkę lub stołek i powiedział im krótką naukę w sposób, że ich równie zajęła jak pouczała, a której to nauki właśnie dlatego z wielką zawsze słuchali uwagą. Nie

Czyż nie odzwierciedlał choć w części i czy nie przypominał żywo sposobu, w jaki pobożne rzesze, gromadzące się u stóp Boskiego Zbawiciela, słuchały Jego nauk i otrzymywały Jego błogosławieństwo, czy to nad brzegami Jordanu, czy na stokach galilejskich gór lub wybrzeżach jeziora tyberyadzkiego?

Za czasów owych zebrań na łące razu pewnego zdarzył się wypadek, którego nie chcę tutaj pominąć milczeniem.

W pewne święto, już pod wieczór, kiedy chłopcy właśnie w najlepsze się zabawiali, stanął z drugiej strony płotu jakiś chłopiec,



KAPLICA ŚWIĄTECZNA w r. 1846 na łące.

mogąc im zaś udzielić błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, kończono nabożeństwo odśpiewaniem nabożnej jakiej pieśni do Niepokalanej Dziewicy, prosząc Ją, by wspólnie z Boskim Swym Synem udzielić im raczyła błogosławieństwa z nieba. Następnie podejmowano na nowo gry i zabawy, trwające zazwyczaj aż do późnego wieczora.

Kiedy już wszyscy opuścili łąkę, wtenczas dopiero X. Bosko wracał do *Rifugio* (schroniska). Często był tak osłabiony całodzienną pracą, że nie mógł ustać już na nogach i trzeba go było prowadzić pod ramię, a niekiedy nawet nieść na rękach.

Sposób ten odprawiania ćwiczeń duchownych i praktyk religijnych pod osłoną nieba czyż nie miał w sobie nic szczególnego?

mogący mieć lat 15. Chwilami zdawało się, jakoby miał ochotę przesadzić słaby parkan i złączyć się z nimi, lecz widocznie nie śmiał i tylko im się przyglądał smutny i z nachmurzonem czołem.

Dojrzał go X. Bosko, a podszedłszy bliżej ku niemu, zadał mu różne pytania: „jak się nazywasz? skąd jesteś? czem się zajmujesz?“ Lecz biedaczysko nic na to nie odpowiadał. X. Bosko przypuszczał już, że jest niemową i właśnie zamierzał mówić doń na migi, gdy próbując raz jeszcze wydobyć z niego jakieś słowo, położył mu rękę na głowie, pytając się go z współczuciem:

—„Co ci jest, mój drogi? Czy może jesteś niezdrów?“

Chłopiec, ośmielony temi oznakami łaska-

wości, dobywając z siebie głosu, który zdawał się wychodzić jak gdyby z jakiej próżnej jamy, odpowiedział ponuro:

—„Jeść mi się chce.“

Słowa te poruszyły wszystkich do głębi. Posłano natychmiast po chleb i wystarano mu się naprędce o skromny posiłek. Kiedy już był syty, X. Bosko, aby mu rozwiązać usta, zapytał go:

—„Czy masz rodziców, lub krewnych?“

—„Mam, lecz bardzo stąd daleko.“

—„Czem się trudnisz?“

—„Siodlarstwem, lecz ponieważ jeszcze nie bardzo jestem do rzemiosła wprawnym, więc mnie majster wypędził.“

—„Nie poszukałeś sobie innego miejsca?“

—„Szukałem przez cały dzień wczorajszy, lecz nie mając w mieście nikogo znajomego, nie mogłem też nic wynaleźć.“

—„Gdzieś spał tej nocy?“

—„Na schodach kościoła św. Jana.“

—„Czy rano poszedłeś do kościoła wysłuchać Mszy św.?“

—„Poszedłem, lecz nie słuchałem jej nabożnie, gdyż byłem głodny.“

—„Dokąd zamierzałeś pójść, zanim przybyłeś tu do nas?“

—„Od kilku godzin czułem silną pokusę pójść gdzie co ukraść.“

—„Czy nie prosiłeś nikogo o jałmużnę?“

—„Prosiłem, lecz nadaremnie. Widząc mnie tak młodym, wzięli mnie wszyscy łajać, mówiąc: jesteś zdrów i dosyć silny; idź pracować, miasto się wałęsać, — i nie dali mi ani grosza.“

—„Gdybyś był poszedł kraść, z pewnością wtrącono by cię do więzienia.“

—„To też właśnie obawa więzienia powstrzymała mi kilka razy rękę, lecz Pan Bóg miał nademną miłosierdzie i zamiast dopuścić, bym poszedł drogą niesławy, zaprowadził mnie oto tutaj do księdza Dobrodzieja.“

—„O czem myślałeś, przyglądając się naszej grze i zabawom?“

—„Myślałem sobie: jakżeż są szczęśliwi ci chłopcy! Weseli i zadowoleni skaczą sobie, biegają, śpiewają, — i brała mnie zazdrość. Bardzo rad byłbym się do nich przyłączył, lecz nie śmiałem.“

—„A czy odtąd będziesz tutaj regularnie przychodził co niedzielę i święta?“

—„Bardzo chętnie, jeżeli tylko X. Dobrodziej mi na to pozwoli.“

—„Przychódź śmiało, kochanku; bądź pewien, że zawsze z przyjemnością cię przyjmiemy. Jak na dziś biorę już na siebie wystarać ci się o kolacyą i miejsce do spania. Jutro zaś zaprowadzę cię do pewnego uczciwego majstra, który się tobą zaopiekuje i u którego znajdziesz pracę i utrzymanie.“

Nie potrzeba dodawać, że chłopak ów pilnie odtąd uczęszczał do Oratoryum, aż do roku 1852, w którym to czasie musiał się stawić do wojska; zawsze zaś zachował uczucia żywej wdzięczności dla tego, który przez swoją dobrotliwość i prawdziwie ojcowską pieczę wyrwał go z niebezpieczeństwa popadnięcia w grzech i skalania się występkiem.

W tym samym czasie, pewnej niedzieli zaprowadził X. Bosko swoich wychowanków na wycieczkę do sławnej bazyliki, wystawionej przez książąt piemonckich na pamiątkę odsieczy Turynu r. 1706 na wysokiem wzgórzu, zwanem *Soperga*, skąd bardzo piękny roztacza się widok na leżącą u jego stóp stolicę Piemontu i szeroką równinę, przez którą wije się rzeka *Po*. Sądzę, że sprawię czytelnikom moim przyjemność, podając im jej opis, tak jak mi ją był opowiadał jeden z uczestników.

Kiedy się już chłopcy rychło rano zebrali na łące, zaprowadził ich X. Bosko najpierw na Mszą św. do kościoła *della Consolata* (Matki Boskiej Pocieszenia). Około godziny 9ej ustawili się wszyscy w długi rząd dwójkami, poczem ruszyli przez miasto niby pułk żołnierzy, kierując się ku *Soperdze*. Na czele kroczyła kapela, popisująca się na znanych z niedzielnych zebrań instrumentach: starym bębnie i chrapliwej trąbie, do czego tym razem przyłączyła się jeszcze para skrzypek i rozstrojona gitara: — liche to wszystko wprawdzie, lecz młodzież bynajmniej nie była wybredną: dla niej wystarczało, że owe stare graty wydobywały ze siebie jakie takie tony.

Z towarzystwa jeden niósł koszyk z chlebem, drugi ser, inny znowu kiełbasę, suszone figi i t. p. wiktuały. Dopóki maszerowali przez miasto, zachowali chłopcy względne milczenie, lecz skoro przybyli nad rzekę *Po*, zaczęły się coraz głośniejsze pogawędki, niezadługo podniosły się śpiewy, wreszcie powstał zgiełk i wszczął się rozgardyasz taki, że ludziom okolicznym mogło się naprawdę wydawać, iż wyruszyli po to, by wziąć wzgórze szturmem.

Jeszcze wczas rano wyprzedził ich był na *Sopergę* X. Dr. Borel, by uwiadomić kogo należało o ich przybyciu i zarządzić potrzebne przygotowania na ich przyjęcie: to bowiem można było przewidzieć, że po całogodzinnem wdrapywaniu się na wzgórze, staną chłopcy

na jego szczycie w wybornem usposobieniu a z wyborniejszym jeszcze apetytem.

Przeszedłszy most na *Po* i znalazłszy się u podnóża *Sopergi*, napotkali tam osiodłanego konia, wysłanego umyślnie naprzeciw przez zacnego X. Guglielmetti, proboszcza pamiątkowej bazyliki, na usługi kierownika wycieczki. Równocześnie otrzymał X. Bosko liścik od X. Dr. Borel'a, w którym tenże donosił: „Może X. Dobrodziej przyjść śmiało wraz z kochanymi chłopcami. Zupa, potrawy i wino są już przygotowane.“ Zaczem X. Bosko dosiadł wierzchowca, kazał chłopcom zebrać się wokoło i przeczytał im powyższy liścik, którego treść — krótka, a jednak tak wielce wymowna — wywołała wśród nich taką burzę oklasków i okrzyków bez końca, że niemal ogłuszyli jeźdźca, a w każdym razie mocno wystraszyli jego bucefała.

Wynurzywszy w ten sposób radość, jaką odczuwali, i wystąpiwszy z szeregu, zaczęli chłopcy wdrapywać się na górę, otaczając liczną, wesołą świtą swego naczelnika. Idąc, jedni chwytali konia za cugle, drudzy za uszy, niektórzy za ogon; ten go poklepał, tamten z lekka popychał, a potulne stworzenie znosiło wszystko z takim spokojem, że mógłby sobie śmiało brać z niego wzór najcierpliwszy nawet osiełek.

Wśród śmiechu, śpiewów, żartów i ożywionych rozmów stanęło tak całe towarzystwo, wdrapawszy się szczęśliwie na dość spadziste wzgórze, u bram świątyni. Ponieważ chłopcy byli spoceni, więc X. Bosko kazał im się zebrać na dziedzińcu przyległej kolegiaty, by nie stali na przeciągu, a po krótkim wypoczynku i odwiedzeniu Najśw. Sakramentu, zawiódł ich do przygotowanych już na ich przyjęcie stołów. X. Dr. Audisio, natenczas prezydent akademii kościelnej, kazał zastawić stół wyborną zupą i różnemi potrawami, X. Guglielmetti dostarczył wina i owoców, — jeden i drugi okazując w ten sposób, ile już wtenczas umieli sobie cenić księdza Bosko i dzieło, które był rozpoczął.

Po Bogu dziękowali chłopcy za dary otrzymane obydwom dobrodziejom i wykrzyknęli na ich cześć po trzykroć gromkie: *niech żyje X. Prezydent! niech żyje X. Proboszcz!* a sławetna kapela Oratoryum, nie mogąc po sobie przenieść, by nie popisać się przy takiej sposobności, zagrała coś od ucha. Czcigodnym kapłanom bardzo się podobało dobre serce młodzieży i przyjęli nader łaskawie zgotowaną im owacyę, lecz nie umieli się powstrzymać od śmiechu, słysząc dziwaczną nieco muzykę, kubek w kubek podobną do rzępolenia, jakie ongi na *piazza Castello* w Turynie pajace i trefnisie wydobywali ze swych instrumentów, przygrywając małpom do tańca. Bądź co bądź wszystko odbyło się jak najlepiej, a chłopcy wstali od stołu zadowoleni i w przekonaniu, że ucztowali jak książęta.

Niedługo potem rozpoczęło się zwiedzanie bazyliki i przyległej kolegiaty. X. Bosko opowiedział chłopcom, jak i kiedy kościół zbudowano i dlaczego właśnie pod wezwaniem Najśw. Maryi Panny, mówił dalej o grobach książąt piemonckich, spoczywających pod nim, o akademii duchownej, założonej tutaj przez króla Karola Alberta, i w taki oto zajmujący sposób zapoznał ich z kilkoma piękniejszymi wypadkami z dziejów ojczystego kraju. Następnie zwiedziło całe towarzystwo kościół, zstąpiono do grobów królewskich, obejrzano salę z portretami papieży, a na ostatku weszła młodzież na wspaniałą kopułę kościoła, skąd pyszny roztacza się widok na znaczny kawał Piemontu i gdzie oko z podziwem spoczywa na ciągnącym się naprzeciw majestatycznym wieńcu Alp, śnieżystymi swymi szczytami zdających się niemal sięgać niebios.

O 3ej po południu zgromadzili się znowu wszyscy w kościele, dokąd na głos dzwonów, obwieszczających daleko wokoło mające się odbyć nabożeństwo, zbiegło się wiele ludu, mieszkającego na stokach wzgórza i w pobliskich dolinach. Po odśpiewaniu nieszporów wstąpił X. Bosko na kazalnicę i miał krótką naukę. Żyjący dziś jeszcze ówczesni uczestnicy wycieczki przypominają sobie, że mówił o skutecznem wstawianiu się za nami Najśw. Panny u swego Boskiego Syna, podając zarazem sposób, w jaki Ją mamy wzywać, jeżeli chcemy być zawsze od Niej wysłuchanymi. „*O ile to jest możliwe,*“ prawił, „*nawiedzcie nasamprzód Najśw. Sakrament i pomódlcie się przed Nim gorąco, poczem wzywajcie Najśw. Pannę, by wam wyjednała tę łaskę, o którą wam chodzi, a bądźcie pewni, że Matka najlitościwsza uzyska dla was tę, lub inną podobną, a nawet zgoła większą jeszcze łaskę.*“

Po kazaniu weszli śpiewacy na chór, a X. Bosko, zasiadłszy przy organach, przygrywał im na nich, kierując śpiewem uroczystego *Tantum ergo* na benedykcyi. W owych czasach nie było jeszcze w zwyczaju, żeby chłopcy śpiewali w kościele na chórze, stąd owego popołudnia, tak członkowie akademii, jak wszystek przybyły lud, słysząc po raz pierwszy czyste, srebrne głosy młodzieńcze, mieli na chwilę złudzenie, że to chór aniołów

zstąpił z nieba na ziemię, aby chwalić Pana, zaczem nie dziw, że wszyscy bez wyjątku słuchacze odnieśli ze śpiewu silne nader wrażenie, a wielu z nich płakało nawet ze wzruszenia.

Po nieszporach puszczano balony, które chyżym lotem wzbijając się w górę, zdawały się niejako widzów zachęcać, by myśli i serca wznieśli do Boga.

O godzinie 7[ej] wieczorem, na znany odgłos bębna i dźwięk trąby, zebrało się całe młodzieńcze grono u bram bazyliki, a podziękowawszy raz jeszcze zacnym kapłanom, którzy tak miłościwie ich w tym dniu byli ugościli, zaczęło spuszczać się z pagórka, kierując się ku miastu. Powrót odbywał się wesoło: jedni śpiewali, inni pokrzykiwali, następnie wszyscy wspólnie odmówili rożaniec i modlitwy wieczorne.

Kiedy przybyli do T u r y n u, w miarę zbliżania się do swych mieszkań, jeden po drugim występował z szeregu i pożegnawszy X. Bosko, udawał się do domu.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

POKŁOSIE z naszych domów.

F o g l i z z o (prov. di Torino).

I.

Szanowny Księże Redaktorze,

Nie jest to tym razem misyonarz, pracujący gdzieś na odległych obszarach **Afryki** lub **Ameryki**, który pisze ten list, lecz rodak, który do świętej, w Pańskiej winnicy powołany pracy, dopiero się do niej gotuje. Jaka zaś jest przyczyna niniejszego pisania, zaraz wytłómaczę.

Na okładce zeszytu majowego „**Wiadomości salezyańskich**" zobaczyłem rysunek, przedstawiający nasz nowicyat w **Foglizzo**. Być może, że niejeden z łaskawych **Pomocników** zobaczywszy tę rycinę, nie zwrócił na nią wcale uwagi i mimowolnie pomyślał sobie: „Co mnie to obchodzi? wszakże jest to dom jak wszystkie inne. Cóż tu w nim nadzwyczajnego?" Na to chciałbym odpowiedzieć: Obchodzi i powinno obchodzić bardzo wiele, zwłaszcza takiego, który ma jeszcze nieco miłości ku swym rodakom. W tymto bowiem domu wychowuje się i kształci grono kleryków Polaków, którzy odbywszy kursa przygotowawcze, częścią we **Valsalice,** częścią w **Lombriasco,** obecnie przeszli do tej świętej zagrody, by nauką, a szczególnie ćwiczeniem się w cnotach zakonnych, przysposobić się na niebezpieczne i trudne prace misyjne między dzikimi **Indyanami,** lub też rodakami opuszczonymi i pozbawionymi nietylko wszelkiej pomocy duchownej, ale większą częścią i środków materyalnych.

To jest bowiem miejsce, dokąd podążył liczny zastęp młodzieży polskiej, która postanowiła wielkodusznie opuścić ojczyznę, rodzinę, krewnych, dobra doczesne i wszystko, co tylko najmilszego posiadała i posiadać mogła, a przyłączyć się do szeregów **Zgromadzenia salezyańskiego,** pod sztandar, który nosi napis: **Da mihi animas, caetera tolle.**

Tutaj jest to miejsce, gdzie wielu z nich nabrało potrzebnej siły, by oderwać się od łona najdroższych przełożonych i współbraci, a puścić się w dalekie ziemie: jedni między **Indyan,** drudzy między Polaków **Brazylii,** inni między mahometan **Afryki,** i tak poświęciwszy się całkowicie dla dobra dusz, szczególnie dziatwy i młodzieży, z zupełnem poddaniem się woli Bożej, z wypogodzonem czołem, znoszą trudy i nawet prześladowania, ze strony tych, którzy więcej od innych powinniby im być za ich pracę wdzięczni.

Nareszcie jest to miejsce, gdzie corocznie przychodzą coraz to inni rodacy, którzy lubo nie powołani na misye, przebywają tymczasowo we **Włoszech,** i tutaj się gotują do wystąpienia na nowe pole, mające się wkrótce otworzyć Zgromadzeniu salezyańskiemu i w naszej ojczyźnie.

Słusznie zatem, bardzo słusznie Wiel. X. Redaktor umieścił na buletynie rycinę, przedstawiającą tutejszy nasz nowicyat, by każdy z naszych drogich **Pomocników** mógł na nią popatrzeć i powiedzieć: „Oto miejsce, gdzie się ćwiczy młodzież polska, aby podjąć i ciągnąć dalej czyny, które unieśmiertelniły imię X. Bosko." Niejeden zaś ojciec, niejedna matka, widząc ową rycinę, może powiedzieć ze wzruszeniem: W tym to domu przepędził mój syn najszczęśliwsze i najpiękniejsze chwile swego życia, które niestety ograniczyły się na jednym roku zaledwie. Opuścił nas wprawdzie, oddając się na służbę Bożą, lecz tem samem uszczęśliwił siebie, uszczęśliwił nas, a z czasem uszczęśliwi i innych, błądzących jeszcze po manowcach błędu.

Obecnie zbliża się koniec roku szkolnego i tylko kilka tygodni przedziela nas jeszcze od dnia, w którym się spodziewamy dostąpić tego szczęścia, żeby módz złożyć śluby zakonne: polecamy się przeto modłom X. Dobrodzieja i wszystkich braci.

Jak na teraz nie mam nic szczególniejszego i ważniejszego do doniesienia, dziękuję tylko X. Redaktorowi w imieniu nas wszystkich za buletyn polski, którego nam przysyła miesięcznie po kilka egzemplarzy, i życzę całemu wydawnictwu, aby jego praca, tyle kosztująca trudów, jak najobfitsze dla świętej sprawy przyniosła owoce; aby **Związek Pomocników salezyańskich** codziennie się więcej rozszerzał między polskim ludem, by tenże, poznawszy doskonale dzieła Zgromadzenia naszego, z otwartemi rękami przyjął, — da Bóg doczekać, już niezadługo, synów X. Bosko.

II.

Zaledwie jeden list Wiel. X. Redaktorowi posłałem, a już zabieram się do pisania drugiego, bo zawsze mi rzeczą miłą jest, posyłać od czasu do czasu nowiny osobie, której jestem obowiązany tylu powodami wdzięczności i przyjaźni.

Byłem w tych dniach na obchodzie imienin, wyprawionych przez naszych rodaków w **Lombriasco** swemu dyrektorowi, Wiel. **X. Riccardi**'emu; i pewien, że sprawię tem X. Dobrodziejowi przyjemność, podaję tutaj główniejsze, zaszłe tamże rzeczy.

Przybyłem do **Lombriasco** w niedzielę rano, gdzie było mi bardzo miło, mòdz po roku prawie niewidzenia się, przywitać znowu mych dawnych przełożonych, rozmawiać z tylu znajomymi chłopcami, poznać innych, przybyłych już po moim wyjeździe do **Foglizzo**, i oglądając te miejsca, ten dziedziniec, te szkoły, ten kościółek, przypominać sobie dwa z najpiękniejszych lat mego życia, tamże przepędzonych.

Pod wieczór tego dnia, w obszernym salonie, pięknie przyozdobionym, zaczęto przygotowywać dary, które nasi rodacy byli dla swego dyrektora sprowadzili. Po większej części były to przybory kościelne: kielich, szaty kapłańskie (między któremi zabierał pierwsze miejsce śliczny czerwony ornat), komże, obrazy, świeczniki i t. d. Rzemieślnicy zakładu także tam rozłożyli podarunki, własną dokonane pracą: stolarze śliczne biuro, krawcy sutannę, a szewcy parę trzewików na włoski sposób. Oprócz tego było tam wiele innych jeszcze drobnostek, które nie zasługują na szczególną uwagę.

W tym samym salonie miano także odbyć t. z. *akademią* (czyli *wieczorek deklamacyjny*). Rzeczywiście około 5,30 wieczorem już tam byli zebrani wszyscy chłopcy i pewna liczba naszych **Pomocników** miejscowych; brakowało tylko X. dyrektora. Nareszcie wszedł Wiel. **X. Riccardi**, przywitany głośnymi okrzykami, oklaskami i wesołym marszem „bandy“ muzykantów, składającej się z około 30 naszych rodaków.

Po skończonym marszu nastąpiła mowa jednego z profesorów zakładu, który wyłożył cel i powody tego uroczystego zebrania, z których głównym była wdzięczność wychowanków za doznawaną prawdziwie ojcowską opiekę ze strony X. dyrektora. Następnie zaśpiewano piękny hymn, zastosowany do uroczystości, a ułożony przez tamtejszego nauczyciela muzyki, zaczem nastąpiło czytanie powinszowań różnych form i w różnych językach. W połowie *akademii* muzyka odegrała długą, wesołą sonatę tego samego, co i wyżej wspomniany hymn, autora, a potem nastąpiły znów różne czytania, przerywane od czasu do czasu ślicznymi śpiewami.

Na koniec X. dyrektor podziękował nauczycielom zakładu, którzy najwięcej się byli przyczynili do tego uroczystego obchodu, podziękował również chłopcom i polecił im, by w jego imieniu złożyli serdeczne dzięki swym rodzicom za nadesłane przez tychże ofiary na sprawienie tak pięknych a cennych przedmiotów i zapewnił wszystkich, że nigdy o nich nie zapomni w swych modlitwach. Gdy skończył, wszyscy zawołali z zapałem jeszcze raz: „*niech żyje X. dyrektor!*“ poczem zaczęli się rozchodzić, podczas gdy muzyka grała wesołego poloneza.

To było wieczorem we wigilią święta.

W poniedziałek rano, kapela, ustawiona wcześnie na dziedzińcu, obudziła nas ze snu wesołym marszem, zapowiadając w ten sposób, że nastał dzień radości i wesela. Aż do sumy nie zaszło nic szczególnego. Około 10[ej], X. dyrektor, mając na sobie nowy ornat, rozpoczął odprawiać uroczyście Mszę świętą. Służyło mu z wielką okazałością szesnastu wychowanków, ubranych w suknie kleryckie i komże, kilku kleryków i księży. Nie mniej wspaniały był śpiew chóru na cztery głosy. Po ewangelii wstąpił na kazalnicę pewien kanonik, pleban pobliskiej wioski: w krótkich słowach wyliczył on główne wypadki z życia oraz czyny **św. Roberta** (Patrona X. dyrektora), polecając wszystkim, by w swych potrzebach udawali się często do tego świętego. Około dwunastej skończyła się Msza św. i wszyscy wychodzili z kościoła, zadowoleni bardzo ze wspaniałych ceremonii, z kazania, jak również ze śpiewu. Po krótkiej rozrywce poszło się na obiad, który miał coś szczególnego. W tem kolegium chłopcy mają zazwyczaj swój refektarz oddzielony od refektarza przełożonych, lecz tym razem umieszczono wszystkich wychowanków wraz z przełożonymi w tym salonie, w którym wieczorem przedtem odprawiano *akademię*, i to było przyczyną powszechnej radości. Pod koniec uczty odczytano kilka powinszowań wierszem i odegrano kilka *sonatyn*.

Po tem wszystkiem poszliśmy na rekreacyę. Tutaj dopiero rozpoczęły się gry, latanie, wrzaski, jak to bywa zwyczaj w naszych zakładach: nie brakło i kapeli, wygrywającej zawsze ładne marsze, polonezy, symfonie i t. d.

Około czwartej odśpiewano nieszpory z tą samą uroczystością, co i Mszę św., i zakończono funkcye kościelne błogosławieństwem Najśw. Sakramentu.

Lecz na tem nie skończyło się jeszcze święto. Po wieczerzy, wyszedłszy na dziedziniec, znaleźliśmy go oświecony setkami różnokolorowych baloników, świecących się i powieszanych na drutach, które w sztuczny krzyżowały się sposób. Wysoko w powietrzu wisiała zawieszona na drucie i oparta o mur wielka gwiazda, utworzona z różnokolorowych, świecących się szklanek, a w oknach były umieszczone różne transparenty, które, oświecone od strony pokojów, wcale ładny przedstawiały widok. Przepędziliśmy na tej iluminacyi i podworca i kolegium około dwie godziny, to rozmawiając z wesołymi chłopcami, to słuchając muzyki, to podziwiając udanie się pod każdym względem obchodu uroczystego. Nareszcie około jedenastej poszliśmy na modlitwy do kościoła, a potem na spoczynek.

Tak się skończyło to święto, — chwalebna oznaka miłości, jaką nasi rodacy w **Lombriasco** mają dla swego dyrektora, który otaczając czułą opieką synów **Polski,** i poświęcając dla nich

wszystek swój czas i zdrowie, z pewnością na takąż sobie zasługuje. Był on bardzo zadowolony z tego obchodu święta swego Patrona i okazał to, rozdzielając pomiędzy chłopców własnoręcznie ofiarowane z okazyi uroczystości od naszych **Pomocników** łakocie.

Odjechałem z **Lombriasco** na drugi dzień rano, odnosząc stamtąd najmilsze wrażenia, co wszystko mnie skłoniło do pisania X. Dobrodziejowi tego listu.

Z **Foglizzo** nie mam nic ważniejszego do doniesienia: wszyscyśmy zdrowi i gotujemy się do składania blizkich już egzaminów. Polecam łaskawym modłom X. Dobrodzieja siebie i wszystkich współbraci.

Kl. August Hlond.

III.

Bahia Blanca (rzeczpospolita argentyńska, Ameryka południowa).

Szanowny Księże Redaktorze,

W nr. 2im „**Wiadomości salezyańskich**" umieszczono, jak widzę, list mój, pisany pod wpływem chwilowego rozdrażnienia, nie całkiem bezpodstawnego (tak przynajmniej sądzę), zważywszy na opisane tam zajścia i napaści, do których z naszej strony nikomu nie daliśmy powodu. Wszelkie intrygi jednakże, przeciw nam wymierzone, oszczerstwa, na nas i nasze Zgromadzenie miotane, wszystkie groźby, a nawet jawny gwałt i otwarte prześladowanie, którego przez kilka lat byliśmy przedmiotem, nic nie poskutkowały. Nie ulękliśmy się ich i bynajmniej nie dali się sprowadzić z raz obranej drogi. Wypędzani z jednej strony, wracaliśmy z drugiej, aż nareszcie doczekaliśmy się względnego spokoju, a przynajmniej zawieszenia broni.

Po srogiej burzy nastała więc obecnie pogoda, pozwalająca spodziewać się obfitego z naszych prac i mozołów plonu.

Aż do końca zeszłego roku posiadaliśmy w **Bahia Blanca** jeden tylko zakład, i to na gruntach, należących do parafialnego kościoła (jeśli tak nazwać można nędzną lepiankę, wystawioną z kawałów czarnego błota i rzadkich, licho — gdyż trupami zabitych **Indyan**, jak wszystkie zresztą domostwa pierwotnej osady — wypalanych cegieł). Zamiarem naszym było wystawić obszerniejszy, murowany kościołek, lecz zaledwie wzięliśmy się do dzieła, a fundamenta zostały założone, zakazano nam i przemocą wzbroniono dalszej budowy, a że natychmiast poczyniliśmy starania o usunięcie zakazu, ściągnęliśmy tem samem na siebie zajadłą nienawiść wszystkich „*trójpunktowych braci*" w całej **Argentynie**, domagających się we wszystkich swoich dziennikach, wydalenia nas z miasta i z granic rzeczypospolitej.

Nie chcąc rzeczy doprowadzać do ostateczności, zaprzestaliśmy wprawdzie budowy kościoła i usunęliśmy się z pierwotnego mieszkania, które zaraz po naszem wyjściu spustoszono i zamieniono w gruzy, ale zato na przekór masonom stanęły w przeciągu kilku miesięcy trzy nowe zakłady salezyańskie, co jeden to okazalszy.

Jeden z nich (wprawdzie nieco oddalony od **Bahia Blanca**) dostał się mnie w udziale. Nazywa się **La Piedad** (= Matka Boska Bolesna).

Mam kościołek, którego budowa jest wcale okazałą, chociaż wewnątrz brak mu jeszcze dużo. W **maju** b. r. odwiedził mnie X. Biskup **Cagliero** i poświęcił obrazy **Drogi krzyżowej**, które nabyłem za zebraną tu i owdzie jałmużnę. Dużo niezbędnych przedmiotów jest mi brak, lecz uważałem za właściwe, nabyć najpierw **Drogę krzyżową**, by mieć na oczach wzór poddania się woli Najwyższego i kroczenia mężnem sercem na tej drodze, cierniami usłanej, na jaką Wszechmocnemu Panu Bogu spodobało się mnie powołać, a zresztą i dla dusz, mej pieczy powierzonych, widok Pana i Zbawiciela naszego, ciężarem krzyża obarczonego, będzie ciągłą zachętą do cierpliwego znoszenia ciężaru niedoli, na jaką wszyscy prawie tutaj jesteśmy skazani.

W czasie pobytu X. Biskupa **Cagliero** u mnie w **Piedad** dowiedziałem się od niego między innemi, że stawił wniosek do X. **Rua**, by mu przysłano sześciu kleryków **Polaków**. Pozwoliłem sobie mu na to zauważyć, że nie w **Argentynie**, gdzie Polaków prawie całkiem niema, jest nasze przeznaczenie, lecz że gdzieindziej, a mianowicie w południowej **Brazylii** jest niecierpiąca zwłoki ich obecność, z powodu licznych nader, rozsianych tamże osad polskich; że ja sam, zawsze i ciągle mam myśli i serce skierowane do nich. Na to mi X. Biskup odpowiedział: „*Co do przybycia tutaj Polaków, to zawsze będę na to w Turynie nalegał, ponieważ mam dużo do nich sympatyi. Podobają mi się. Co zaś do Twoich nalegań o wysłanie Cię do Brazylii do Twoich rodaków, to nie będę robił żadnej opozycyi, jeżeli takie rozporządzenie nadejdzie od X. Rua.*"

Ochotników, co tutaj mają przybyć w tym roku, bez wątpienia radosnem sercem i z otwartemi przyjmę rękami, ale nastaję i nastawać zawsze będę, że nasze zapały i wszystkie nasze siły powinny być przedewszystkiem skierowane do swoich. O ile to od nas zależy i o ile taka jest wola ukochanych naszych Przełożonych, prośmy i starajmy się o to, by na pierwszem miejscu nieść pomoc własnej braci; co zbywać będzie sił, z chęcią damy je także innym (mam na myśli wychodźców europejskich różnych narodowości); jedna zaś część naszych poświęci się oczywiście misyom wśród dzikich.

Wszakżeż tak rozpoczęli **Salezyanie** misye swoje w **Ameryce** południowej? Zaczęli najprzód od **Włochów**, po różnych rozsypanych miastach argentyńskich, potem przyszła kolej na dzikich.

Tu w **Piedad** mam przeważnie do czynienia z **Włochami**. Umiem się wprawdzie z nimi porozumieć i pracuję około nich, ile mogę, ale ciągle mi stoi na myśli, że w pracy tej z łatwością zastąpić mnie może **Włoch**, podczas gdy w różnych,

brazylijskich np. miastach i osadach, znajdują się księża **Włosi**, którzy naszym wychodźcom nic pomódz nie zdołają, gdyż nie rozumieją ich języka. Czyż w takich razach nie byłaby korzystną wymiana? Mojem zdaniem: tak.

Należałoby także wyjednać w **Turynie**, by podobnie jak w **Genui**, rozrzucić przynajmniej po jednym z naszych w tych portach południowej **Ameryki**, gdzie się już znajdują domy salezyańskie.

Ile łez, ile strat, jakiej niedoli i nędzy oszczędzićby można w ten sposób biednym polskim wychodźcom! Następujące zajście da dokładne pojęcie o gwałtownej potrzebie urzeczywistnienia powyższego projektu.

Będzie temu miesiąc, ujrzałem pewnego poranku opodal mego mieszkania dwoje ludzi, a że zbliżali się od strony zatoki morskiej, gdzie jest przystanek dla okrętów, oddalony od **La Piedad** o jakie 8 kilometrów, domyśliłem się, że to były osoby zupełnie obce, w czem utwierdziłem się tem bardziej, widząc, że jakoś bojaźliwie posuwali się naprzód, jak gdyby zdziwieni, że wśród tej puszczy, całkiem odosobniony, znajduje się wcale przystojny kościołek, którego smukłą wieżyczkę niezawodnie zoczyli byli w przystani.

Przypatrywałem im się ciągle z okna mego mieszkania, a że, chociaż zwolna, skierowali się wprost do drzwi kościelnych i weszli do kościoła, domyśliłem się już prawie, co oni zacz. Po upływie kilku minut przychodzi zakrystyan (Argentyńczyk) i przestraszony opowiada mi, że w kościele znajduje się dwoje ludzi, zdaje się szalonych, gdyż rzucili się krzyżem na posadzkę, rosząc ją łzami i całując, a przytem jęcząc i wydobywając ze siebie jakieś dziwne wyrazy, których on nie rozumiał.

Na mnie oczywiście to opowiadanie jego bynajmniej nie wywarło wielkiego wrażenia; domyśliłem się z łatwością, że muszą to być cudzoziemcy, a ich zachowanie się w kościele dowodziło nadto, że ich spotkało, lub też tylko im grozi, jakieś niebezpieczeństwo.

Długą chwilę trwali w powyższej, u **Argentyńczyków** nigdy nie widzianej, wprost niesłychanej, pozycyi, poczem kazałem ich zawołać do siebie. Zbliżali się biedacy jeszcze bardziej nieśmiało i bojaźliwie, niż przedtem do kościoła, a gdy weszli do stancyi i ujrzeli księdza, zrobili głęboki ukłon, aż zamiatając podłogę potężnemi, baraniemi czapkami, które widząc teraz całkiem z bliska, domyśliłem się, iż oboje pochodzą z **Galicyi**. Zapytałem się ich jednakże po hiszpańsku, co są za jedni i skąd przybywają. Spojrzeli po sobie, następnie jeden wybełkotał: „*nierozumiemy.*“ Na to słowo zadrzałem; po kilku latach przebywania wśród cudzoziemców, odłączony od mego towarzysza podróży, **Jakóba Sikory**, był to pierwszy wyraz, w ojczystym wymówiony języku, jaki słyszałem. Zapanowawszy jednak nad sobą, przemówiłem do nich po polsku: „*Jesteście zapewne Polacy?*“

Jeżeli na mnie sprawiło takie wrażenie jedno słowo polskie, z polskich ust wygłoszone, to na tych biedaków pytanie moje podziałało przerażająco. Nie odpowiedzieli mi, czy są Polakami albo nie, tylko z głośnem **Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!** rzucili mi się do nóg, trzymając mnie długą chwilę uwięzionego. Płakali biedacy z radości, a i ja nie mogłem od łez się powstrzymać.

Na zapytanie, z których pochodzą stron i dokąd się udają, odpowiedzieli: „*jesteśmy z Galicyi i jedziemy do Kanady.*“ Zrazu myślałem, że nazwę tego ostatniego kraju pomięszali z inną jaką miejscowością, w południowej leżącą **Ameryce**, lecz po dłuższem rozpytywaniu się przekonałem się, że ci nieszczęśliwi byli w istocie mniemania, że znajdują się na prostej drodze do **Kanady**, gdzie ich oczekiwali i niezawodnie oczekują jeszcze dziś, krewni i znajomi.

Pojąłem straszne położenie tych biedaków, chociaż oni sami zdawali się go całkiem nie rozumieć, gdyż napróżno siliłem się ich przekonać, że na zupełnie błędnej znajdują się drodze, gdyż z **Hamburga**, gdzie wsiedli na okręt, zamiast udać się do **Kanady**, na zachód, przybyli w zupełnie przeciwną stronę, a w dodatku w okolicę, prawie pustą.

Pojęcia nawet nie mieli, jaka przestrzeń ich dzieliła od **Kanady**, dokąd na wezwanie swych krewnych zdążali. Zapewniali mnie, ze od dwóch miesięcy, tj. odkąd wsiedli na okręt, ja pierwszy byłem, z kim się mogli porozumieć. Na zapytanie, pod czyją znajdują się opieką, odpowiedzieli, że jakiś pan w porcie troszczy się o nich i z okrętu zabrał ich ze sobą na stancyę, gdzie już od trzech dni przebywali.

Było to dla mnie zagadką. Postanowiłem sobie poznać bliżej tego pana opiekuna. Udałem się więc wraz z nimi do owego „dobroczyńcy“ w porcie **Bahii**, gdzie mnie zawiedli do jakiejś obskurnej gospody. Jej właściciel (właśnie ów mniemany opiekun), zaraz na wstępie wezwał mnie, bym oświadczył tym oto ludziom, z którymi on na żaden sposób porozumieć się nie może, iż mają do zapłacenia rachuneczek za trzydniowe utrzymanie, ni mniej ni więcej, tylko 40 *pesos* (= 120 franków, czyli blisko 100 *marek*, albo 120 *koron*), podczas gdy ci biedacy nie mieli ani grosza przy duszy, w czasie bowiem dwumiesięcznej podróży wyczyszczono im kieszenie należycie.

Było ich razem kilka osób: **Jan Dylawski**, z żoną i trojgiem drobnych dzieci (jedno urodziło się na statku; ochrzciłem je tutaj) i **Michał Misztel**, samotny, z okolic **Buczacza w Galicyi**.

Gdy im wytłómaczyłem szlachetność mniemanego ich opiekuna, dopiero wtedy pojęli grozę swego położenia, wtenczas dopiero wszczął się lament, płacz i narzekania, że i najtwardsze kamienie byłyby się poruszyły, lecz serce „opiekuna“ nie dało się niczem wzruszyć. Nie chciał ich w żaden sposób puścić, dopóki nie uiszczą się

z „należytości,“ grożąc im zatrzymaniem chudoby, którą ze sobą przywieźli.

Gdybym był miał wówczas żądaną sumę, z pewnością byłbym za nich zapłacił, lecz była to suma nader wysoka, bardzo rzadko znajdująca się w mojem posiadaniu.

Zrobiłem jednak co mogłem w danej chwili. Poręczyłem za nich i zabrałem ich ze sobą. Postarałem im się o pracę, słowem troszczyłem się o nich, ile się dało.

Misztel zabrał się z chęcią do pracy i dzisiaj jeszcze jest tutaj. Na jego żądanie napisałem mu list do braci, by sprzedali zagon roli, który mu jeszcze w kraju pozostał, i przysłali mu pieniędzy na podróż do domu. Cierpliwie oczekuje pieniędzy i nie chce ani słyszeć o **Kanadzie.**

Dylawski, zrozpaczony, — zaledwie się udało zaspokoić owego „opiekuna“ w porcie za trzydniowy pobyt w gospodzie, — tak był do wszystkiego zniechęcony, że nie chciał nawet na jeden dzień pójść do zajęcia; wciąż marzył o **Kanadzie** jakby o jakim raju. Co mu najwięcej odbierało ochotę do pracy, było to, że nie mógł nigdy rozumieć, czego od niego żądano i co mu kazano robić; płakał ciągle i wzdychał nad niedolą żony i dzieci więcej, niż nad swoją własną. Nie dziwiłem mu się bynajmniej; litość mnie brała, widząc tyle boleści i strapienia.

Nie mogąc mu się w niczem przyczynić do powrotu do kraju, radziłem mu, by się udał do **Brazylii,** a że ostatecznie się na to zgodził, wysłałem go wraz z rodziną do p. **Zdanowskiego w Porto Alegre** (w **Brazylii**), gdzie łatwiej na której z polskich osad będzie mógł sobie zaradzić. Dotychczas nie mam jednakże żadnej wiadomości, czy szczęśliwie zajechał na wskazane miejsce.

Ze zeznań tych nieszczęśliwych mogę wnosić, iż pomyłka (gdyż inaczej sądzić niepodobna) zaszła w następujący sposób.

W **Hamburgu,** gdzie się zajmował nimi agent (niejaki **Morawetz**) zmylono stempel na karcie okrętowej i zamiast portu kanadyjskiego położono **Buenos Aires** (stolica rzeczypospolitej argentyńskiej), gdzie najpierw wylądowali i gdzie ich na kilka dni umieszczono w domu emigracyjnym. Przypuszczam, że zmylono stempel w **Hamburgu,** bo czyż jest podobnem wnosić, by złość ludzka i niesumienność posunąć się miały do tego stopnia, żeby tylu nieszczęśliwych robić ofiarą swego kaprysu?

Komisya emigracyjna, nie mogąc się z nimi porozumieć, pragnąc czem prędzej pozbyć się ciężaru, wysłała ich na pustkowia do **Bahia Blanca.** Na zarzut, jaki z tego powodu zrobiłem komisarzowi emigracyjnemu w **Buenos Aires,** p. **Alsina,** prosząc go jednocześnie o wsparcie dla tych biedaków, odpowiedział mi, że owi ludzie sami żądali przesłania ich w te strony. Co prawda, z góry już byłem pewny podobnej odpowiedzi: jest to wygodna formułka, za pomocą której zrzuca się z siebie wszelką odpowiedzialność.

Podczas ostatniego mego pobytu w **Buenos Aires** prawie z ciekawości udałem się do domu emigracyjnego. Ciekawość ta była opatrznościową, gdyż znalazłem tam sześć **polskich** rodzin, z któremi nie wiedziano, co zrobić, jedynie z powodu niemożności porozumienia się z niemi. Niewątpliwie i ci byliby gdzie wysłani w celu zaludnienia jakiego dzikiego pustkowia, gdyby mi się nie było udało zająć się nimi i wysłać ich do **Paraná.** W **Buenos Aires** znajdował się jeszcze wówczas kleryk **Ignacy Hlond.** Wskazałem więc komisarzowi emigracyjnemu kolegium salezyańskie, skąd na każde zawołanie będzie mógł kleryk-Polak dochodzić i służyć za tłomacza.

Rozpisałem się nad losem naszych biedaków jedynie dla przestrogi tylu i tylu nieroztropnych rodaków, co to w swej żądzy prędkiego zbogacenia się poza oceanem, porzucają ziemię ojczystą, udając się w świat daleki na los szczęścia, czyli (tak przynajmniej bywa bardzo często) na najsroższą nędzę.

Na zakończenie listu potrącę jeszcze o **Bahia Blanca.**

W dwa dni po odwiedzeniu mego kościołka X. Biskup **Cagliero** poświęcił co dopiero wystawiony, główny nasz zakład, pod nazwą **Don Bosco,** w samem centrum **Bahii.** Był to dzień naszego tryumfu, to też X. Biskup w swej przemowie wykazał tutejszym mieszkańcom, jak słabą jest potęga szatańska. Na gruzach dawniejszego zakładu powstały trzy inne, obszerniejsze, dające możność pomieszczenia daleko większej liczby dzieci, powierzonych nam na wychowanie. Dzień ten był sromotną porażką dla naszych najserdeczniejszych „.·. *punktowych braci,*“ których przedewszystkiem bodły w oczy chorągwie papieskie, jakiemi cały zakład był przystrojony. Pomiędzy różnobarwnemi flagami celowały, w moich przynajmniej oczach, dwie wspaniałe chorągwie biało-czerwone, z białym orłem na czerwonem polu, z któremi zapewne po raz pierwszy dopiero igrały wiatry patagońskie. Wzniesienie tych polskich kolorów zawdzięczam klerykowi **A. Lovesio,** U r u g u a y c z y k o w i, który szczególniejszą dla **Polski** i P o l a k ó w żywi sympatyę.

Kończę, gdyż i tak rozpisałem się zbytecznie, a zasyłając serdeczne pozdrowienie drogiej braci polskiej po wszystkich kolegiach salezyańskich, proszę o jej modlitwy i pozostaję całem sercem oddany

X. St. Cynalewski.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.